Niedziela, dnia 26-go Stycznia 1902 roku.



Redakcya i Administracya: Poznań, ulica Rycerska Nr. 38. Telefon Nr. 1246.

Nasze „kłamstwa.“

Nie wierzycie nam. Zarzucacie nam zawsze, że jesteśmy faryzeuszami, że kłamiemy. W sejmie wciąż powtarzacie, że posłowie nasi udawają, że myślą inaczej, a inaczej mówią. Jednem słowem, gdy nieco spokojniej do was lub o was mówimy, wołacie:

„To kłamstwo!“

Srogi ten zarzut boleśnie rani sumienie nasze, i chociaż jesteśmy zbrodniarzami tak ohydnymi, tak starymi i zatwardziałymi, nadszedł dzień, gdzie sumienie nasze ruszać się zaczyna, nadszedł dzień żalu i szczerego wyznania win naszych.

Tak, macie słuszność — wyznajemy to dzisiaj otwarcie: *„My kłamiemy!“*

Kłamiemy, bo wy nas kłamać nauczyliście, kłamiemy, bo prawdy nam mówić nie wolno.

Gdy mówimy o „sile,“ myślimy o „przemocy“, gdy mówimy o „bezwzględności,“ myślimy o „brutalności,“ gdy skarżymy się na czyny „niegodne,“ myślimy o „podłych“ czynach, gdy skarżymy się na „ostre“ kroki, rozumiemy przez to „gwałty, okrucieństwa,“ gdy twierdzimy, że źle się z nami obchodzą, mamy na myśli, iż obchodzą się z nami „zbrodniczo.“

Kłamiemy! zamiast „czarne“ mówimy „szare,“ zamiast „czerwone“ mówimy „różowe.“ Używamy zawsze stopnia pierwszego, a myślimy w trzecim.

Tak, kłamiemy, bo prawdy Polakom mówić nie wolno.

Prawda nazywa się „obrazą,“ „podburzaniem,“ „ośmieszaniem,“ „naigrawaniem się“ itd. itd.

Nieraz byliśmy i jesteśmy jeszcze tyle naiwni, by w zapale pozwolić z ust wyjść kilku słowom prawdy szczerej. Dziś wiemy, że po takich prawdy słowach kilku, jest kilka miesięcy więzienia. No, więc kłamać nam trzeba i nadal. Gdybyśmy bowiem zaczęli znowu prawdę głosić, znowu kluczem więziennym zamknęlibyście nam usta i znowu nauczylibyście nas kłamstwa.

Jeżeli więc chcecie nas rozumieć, ułożcie sobie słownik na wzór szematu powyżej nakreślonego z rubrykami: „co mówią,“ a „co myślą,“ — a wtedy dopiero, co myślimy, wiedzieć będziecie.

Dzisiaj wykraczamy wyjątkowo przeciwko naszemu programowi kłamstwa, dzisiaj wyznajemy bowiem winy, więc *prawdę* głosimy.

I dzisiaj wyjątkowo nie obawiamy się rózgi więziennej, bo my, ho, ho, *nawet prawdę mówiąc, skłamaliśmy.* Patrzcie czego to od was nauczyć się można!... Pisaliśmy prawdę, lecz nie powiedzieliśmy wam o kim, o czem mówimy. Możecie się domyślić, o czem i o kim mowa, bo wy bardzo domyślni — ale to nic, to nic!

Kłamiemy, jak nas nauczyliście. *Pozwólcie nam prawdę mówić, a kłamać nie będziemy.* *Vester.*

Dwa „dzióby.“

„Nikt nie zabrania Polakom, by mówili, jak im dziób urósł“ („wie ihnen der Schnabel gewachsen ist“,) odezwał się w parlamencie kanclerz hr. Bülow, z emfazą i potęgą, z uczuciem i siłą. Jak to ślicznie powiedziane! No i jak mądrze powiedziane! Co w tem prawdy się mieści! A ci niesforni Polacy wrzeszczą i wrzeszczą... Po co? Na co? Toć wolno im gadać, jak im „dziób urósł.“

A jakże w istocie urósł im ten dziób? — zobaczmy.

Pierwszymi wyrazy, jakie dzióbem swoim szczebiotaliśmy, było wołanie rodziców naszych — *po polsku.*

Później mówiliśmy już pacierz, mówiliśmy: „Ojcze Nasz“, mówiliśmy pacierz — *polski.*

A kiedy dziób nasz już wyrósł zupełnie, wypowiadaliśmy nim myśli swoje, pragnienia, skargi i żale, wypowiadaliśmy to wszystko — po *polsku.*

I *tak* dziób nasz urósł! Urósł nam, by wyśpiewywać polską mowę. Jeżeli więc, panie hrabio, twierdzisz, iż wolno nam mówić, „jak nam dziób urósł“, zatem wolno nam mówić mową dzióbowi naszemu przyrodzoną, zatem zawsze i wszędzie wolno dźwięczeć polskiej mowie! Wszak tak, panie hrabio?

— *A jednak,* a jednak... Nie chcę wyliczać wszystkich tych „jednak“, nie chcę cię nurzyć, panie hrabio, nie chcę cię narażać na czynność ziewania... Więc tylko kilka owych „jednak.“

— A jednak, gdy rzeknę przy okienku biletowem na dworcu: „Proszę o bilet do Gniezna“, urzędnik wówczas spojrzy na mnie, jak na waryata, wzdrygnie ramionami i gotów wołać straż pożarną, by mnie ubezwładnić. I dopiero, gdy uniżenie przetłomaczę i powiem: „Biete um Billjet nach Gnjesen“, urzędnik żądany bilet mi wyda widząc, że napad warjactwa był tylko przejściowy. A toć ja przecież wprzód mówiłem, „jak mi dziób urósł.“

— A jednak dzieciom polskim zakazuje się w szkole porozumiewania się między sobą po polsku nawet w pauzach. A przecież tak im „dziób urósł.“

A jednak Polak rekrut Walek po krótkoczasowym drylu boi się do rekruta Frącka, z którym kilkanaście tygodni temu w jednej stajni konie oprzątał, powiedzieć: „Frącek, która godzina na zegarze?“, tylko wykrztusi: „Herr Frans“, was Stunde auf Uhr?“ A przecież „dziób mu urósł“ inaczej.

A jednak, kiedy n. p. we Westfalii rodacy się zejdą, by wspólnie radzić nad niedolą swoją, ukazuje się postać policjanta i grozi, że zebranie rozwiąże, jeżeli dalej rozprawy toczyć się będą w polskim języku, i kiedy zebrani dalej mówią, jak im „dziób urósł“, rozwięzuje zebranie. — Panie hrabio, toć sługa twój wiedzieć powinien, że „wolno im mówić, jak dziób im urósł!“

Szukam i szukam potwierdzenia słów kanclerskich, lecz szukam daremnie, — widzę, że one głoszą *nieprawdę.*

Boć chyba pan hrabia nie myślał o tem, że wolno nam mówić po polsku w *rodzinie,* w domu, wśród czterech ścian familijnych. Tego myśleć nie mógł, gdyż wprzódy donieść by musiał, że *właściwie* i w kole rodzinnem mógłby postawić policjanta, który by w danym razie rodzinę rozwiązał. Tego chyba myśleć nie mógł pan hrabia, tak go chyba nie mogli rozumieć sejmowi posłowie z prawicy — chociaż oklaskiwali słowa te frenetycznie — przecież w izbie zasiadają, że tak powiem z ptasiego stanowiska hrabiego Bülow'a, same „rajskie ptaki.“

Że więc słowa te tak oczywistą głoszą nieprawdę, mogę je uważać tylko jako *frazes,* jaki to ptak kanclerski wyśpiewuje bardzo często w parlamencie i sejmie.

A frazes ten bajeczny. Wyobraźcie sobie... Ławy poselskie zapełnione, loże oblężone, światło rzęsiste, uwaga skupiona... W to światło, w tę uwagę rzucić tak potężny grom wołając: „Es verbietet den Polen niemand zu sprechen, *wie ihnen der Schnabel gewachsen ist.*“ Ha! Tu uwierzy każdy, kto dotychczas — nie wierzył... Bajeczny to frazes.

Lecz szkoda, panie hrabio, że to frazes tylko. Gdyby słowo twoje było „słowem,“ trzymalibyśmy ciebie za słowo, za frazes zaś trzymać nie można. Trzymalibyśmy cię za słowo, trzymali mocno. Boć my tylko tego pragniemy, by pozwolono nam mówić, „jak dziób nam urósł.“ Szkoda, że to frazes tylko. Inaczej trzymalibyśmy cię za słowo, i już nikt nie drwiłby sobie z naszego języka, nikt by nam go nie zakazywał, nikt nie uważałby nas za warjatów, gdy mówimy, jak nam „dziób urósł.“ Szkoda, panie hrabio, szkoda, że to tylko frazes, że korzystając z talentu frazeologicznego mówiłeś tylko, jak ci „dziób urósł.“ Zresztą przyrównanie nie złe: dziób i mowa ojczysta.

Ptak inaczej śpiewać nie będzie, chociaż dziób mu pokręcisz. I mowy ojczystej na zamówienie fabrykować nie można. Nasza mowa ojczysta zaś jest polską. A tych z nas, którzy ją zmieniają, tych Polaków z pokrzywionymi dzioby chociażby nawet dzioby te były urzędowe — tych wstydzimy się. To kaleki! *Poznańczyk.*

Cześć posłom naszym!

Trzydniowe rozprawy w sejmie pruskim w przeszłym tygodniu nad sprawą polską uważać możemy za walne zwycięztwo nasze. Uderzono na nas z wielką mocą, z prawdziwie teutońskim furorem, ale furor ten odbił się o pierś posłów polskich jak o puklerz stalowy. Zwycięztwa naszego nie zdoła osłabić ani zmniejszyć tryumfalny wrzask prasy hakatystycznej. Kto z uwagą przeczyta wszelkie jej wynurzenia odnośne, z łatwością dostrzeże wielką ich nieszczerość. Krzyczą, bo wstyd im przyznać się do porażki, bo dalej pragną przeciw nam podburzać opinią niemiecką, ale na dnie tego krzyku przebija się już wyraźnie gorycz zawodu i to przeświadczenie, że nam nie zdzierżą. Jak tonący nawet brzytwy się uchwycić gotów, byle wydobyć się z toni, tak i oni rozpaczliwemi wprost wysiłkami pragną ratować przegraną sprawę swoją. Z góry jednakże wiedzą, że to wszystko napróżno, daremnie!

Sukces ten zawdzięczamy przedewszystkiem sprawiedliwości naszej sprawy, po zatem atoli dzielnym naszym obrońcom w sejmie. W walce ze złością ludzką i najlepsza sprawa szwankuje i pada, gdy niema dzielnych rzeczników. Nasi posłowie stanęli na wysokości zadania. Z spokojem, chociaż z łatwo zrozumiałem oburzeniem, piętnowali wyrządzone nam krzywdy; bezpodstawnym zarzutom i oskarzeniom przeciwstawiali *prawdę,* a wymowne ich argumenty padały jak roztopiony ołów na głowy naszych wrogów. Kręcili się oni jak w ukropie, starając się frazesami odeprzeć miażdżące ich wprost fakta i dowody.

Któremu z posłów naszych w tej trzydniowej walce przyznać należy palmę pierwszeństwa, trudno byłoby oznaczyć. Wszystkie bowiem mowy były arcydziełami w swoim rodzaju. Zawierały materyał, który siłą i wagą swoją przemawiał sam za siebie i jakże zręcznie i dobitnie prostowały każdy fałsz, każdą obłudę! Były one, jednem słowem, godną odpowiedzią narodu, walczącego o najświętsze prawa swoje. Zarówno weterani nasi: ks. prałat *Jażdżewski,* prof. *Schroeder,* Leon *Czarliński* jak i nowa siła, ks. prałat *Stychel,* zdobyli sobie mowami temi wawrzyny

które w pamięci wdzięcznych rodaków nigdy nie zwiędną. Przeciwnikom zaś naszym zawsze, zawsze chyba brzmieć będą w uszach pamiętne słowa ks. *Jażdżewskiero*, iż sprawiedliwość pruska powinna sobie zakryć twarz rękami, pełne godności zapewnienie ks. *Stychla*, że „Polacy nie boją się nikogo“ — wreszcie owo dobitne uzasadnienie postawy naszej z ust posła Czarlińskiego: iż: „bylibyśmy łotrami, gdybyśmy nie bronili narodowej naszej, nietykalnej własności.“

Wiedzą teraz przeciwnicy nasi, że się ich nie lękamy, że się nie trwożymy o przyszłość, że ani mowy być nie może o tem, iżbyśmy dali za wygraną. Przeciwnie, przekonali się ku niemałemu rozczarowaniu, że im silniej w nas bić będą, na tem energiczniejszy napotkają opór...

Przeciwnicy starali się posłów naszych wprawić w pewien kłopot zapewnieniami, że przecież rząd i hakata nie godzą na nasz język, że cenią nasze uczucia, że znalazłaby się może dla nas łaska nawet, gdybyśmy tylko wyrzec się chcieli łączności z braćmi i *polskiej przyszłości* — ale i w tym kierunku nie udała się sztuka. Posłowie nasi wykazali wymownie, jak się w rzeczywistości przedstawia ta „łaskawość,“ do czego zmierza i... nazwali ją po imieniu.

A odpowiedź ich była jasna i wyraźna. Znikły już z wywodów posłów naszych owe ogólniki lojalne, które przez pewien czas szpeciły ich wystąpienia i mowy a wśród wyborców wywoływały niesmak. Dziś powiedzieli otwarcie, że jesteśmy lojalnymi, ale tylko jako *Polacy*, którzy nigdy, przenigdy nie staną się *Prusakami polskiego języka*, nie wyrzekną się *ideałów narodowych.*

W tej odpowiedzi największe zwycięztwo nasze, najlepsza pociecha w dniach smutku i goryczy. Wiedzą teraz Prusy i Niemcy, wie świat cały, co o nas sądzić. Jeźli zaś dodamy do tego ponowną świetną pochwałę, mieszczącą się w niektórych zarzutach przeciwników naszych, iż się odradzamy społecznie, dorabiamy i wzmagamy na siłach, i że dlatego jesteśmy tak niebezpiecznymi dla Niemców, — to rzeczywiście — więcej spodziewać się nie mogliśmy.

O tem, iżby po naszej interpelacyi rząd zmienił system swój względem nas, odstąpił od swej polityki, nikt chyba z nas nie marzył. Nie spodziewaliśmy się nawet takiego ustępstwa, jak owo zapewnienie hr. Bülowa, że przy nauce religii dzieci naszych już bić nie będą. My więc zawodu nie doznaliśmy. Ale doznał go rząd, doznała hakata, otrzymawszy na swą zapowiedź dalszego tępienia polskości, z ust posłów naszych wymowną odpowiedź:

„*My się wytępić nie damy!*“

Nie damy się! Ta pełna godności i siły odpowiedź posłów naszych rozbiegnie się hen po całym świecie i przekona ludy, że ani na chwilę nie zwątpiliśmy, że moc nieprzyjaciół naszych skruszy się o nasze piersi.

Cześć za to posłom naszym, cześć za ich trudy, pracę, za tak świetną obronę praw naszych. Obrady przeszłego tygodnia przywróciły znów zupełną harmonią między posłami a narodem, a to także sukces wielki.

Cześć więc obrońcom naszym!

Żegota.

I my — nie znamy żartów.

„*W sprawach narodowych nie znam żartów*“ — powiedział hr. Bülow podczas dyskusyi nad interpelacyą polską w sejmie pruskim.. Słowom tym tylko przyklasnąć możemy. Sprawy narodowe są dla każdego społeczeństwa zbyt święte i drogie, ażeby z nich żarty stroić miano lub drwić. Te sprawy trzeba traktować na seryo, bardzo poważnie, ale też bardzo *sprawiedliwie.* Bynajmniej też nie bierzemy Niemcom za złe, gdy *własne* swe sprawy narodowe traktują poważnie i na seryo, gdy bronią własnej narodowości. To po prostu święty ich obowiązek. Wypowiadając to słuszne zdanie, zapomniał atoli pan hr. Bülow, że nie tylko Niemcy oraz inne narody, ale także *Polacy* mają swoją narodowość, którą muszą traktować na seryo, że mają do tego to samo prawo, co Niemcy. A właśnie od nas żąda pan Bülow, żądają wszyscy szowiniści niemieccy, abyśmy sprawy narodowe traktowali lekko, wprost żartem. Jakże bo inaczej domagać by się mogli, abyśmy się „Niemcom poddali“ — to jest zbyli się własnej a przyjęli niemiecką narodowość? Jakże bo dziwić się mogą, że spraw naszych narodowych bronimy wytrwale i wydrzeć ich sobie nie pozwalamy, że wpajamy miłość do narodowości w dziatwę naszą i cieszymy się, gdy ta dziatwa mimo męki w szkole, trzyma się wiernie języka ojczystego? O tem pan hrabia Bülow zapomniał, zarzucając nam, żeśmy z powodu Wrześni podnieśli wielki alarm i odwołali się do opinii Europy. Przecież to było zupełnie słuszne i naturalne, nie czyniąc tego, bylibyśmy pokazali, że o nasze prawa narodowe i językowe nie dbamy, że po prostu żarty z nich sobie stroimy...

Zapomniał też pan Bülow o tem — a może tego nie pojmuje — że w walce z polskością nie chodzi bynajmniej o narodowość niemiecką, bo tej nikt u nas Niemcom nie wydziera, że ta narodowość nie jest bynajmniej zagrożoną — że natomiast zagrożoną — i to właśnie przez Niemców jest narodowość polska. Kto zaś innym wydziera narodowość, ten dowodzi przez to, że traktuje ją lekkomyślnie, grzesznie lekkomyślnie, że nie uznaje jej za świętą i nietykalną.

Tak jest! panie hrabio. Postępowanie całej kliki hakatycznej nie licuje bynajmniej ze słowami pruskiemi. Jeżeli w sprawach narodowych nie znacie żartów, to nie powinniście godzić na naszą nadowość, bo to świętość dla nas, rzecz aż nadto poważna.

Swoją drogą powinniśmy sobie wziąć do serca słowa kanclerza

i zawsze mieć je w pamięci. Na ogół czynimy to już, ileż atoli jednostek zapomina o tem! Iluż między nami w sprawach narodowych postępuje bardzo lekkomyślnie, drwi sobie po prostu z godności narodowej! Co chwila słychać, że tu lub tam Polacy, aby się przypodobać Niemcom i nie stracić odbiorców niemieckich, biorą udział nawet w takich festynach niemieckich, na których najgorsze padają obelgi na narodowość naszą, w festynach, na których wzywa się i podburza Niemców do tępienia wszystkiego, co polskie. Czy ci Polacy traktują swą narodowość na seryo? Nie, drwią z niej, wystawiają ją na pośmiewisko, depcą nogami godność narodową. Albo czem jest postępowanie tych rodziców z „wyższych" sfer, którzy córki swe zawsze jeszcze do Wrocławia lub innych miast posyłają na pensye niemieckie, którzy w dom polski do polskich dzieci przyjmują bony niemieckie, którzy utrzymują urzędników niemieckich, podczas gdy setki polskich nie mają chleba, — albo tych, którzy bez naglącej potrzeby dobra swe, ziemię polską, wydzierżawiają Niemcom? Czy to nie są wprost już nie żarty, lecz najgorszego rodzaju drwiny z narodowości, pomiatanie jej prawami i obowiązkiem względem niej? A nie braknie nawet takich, którzy „dla stanowiska" zapalają świeczki w oknach na „Sedana" lub inne uroczystości niemieckie.

Najgorzej zaś szydzą z własnej narodowości ci, którzy ziemię swą, ziemię ojczystą, ziemię polską wprost zaprzedają Niemcom na kolonizacyą, a także ci, którzy nie dbają o czystość języka ojczystego, każą go obcymi wyrazami i zwrotami i wcale się nie starają władać nim poprawnie. To dzieje się zwłaszcza w Prusach zachodnich i na Śląsku, ale także już i w Księstwie. Zasłanianie się tem, że szkoła dziś po polsku nie uczy, nie ma żadnego znaczenia. Od czego książki polskie, od czego czas wolny po pracy zawodowej? Toć chyba lepiej go się użyje — poświęcając go na czytanie i pisanie po polsku, niż na przesiadywanie po knajpach lub przy kartach. Drwią sobie z narodowości polskiej także ci, którzy zawsze jeszcze, mimo bojkotu hakatystycznego zanoszą grosz do obcych, oraz ci, którzy dziatwy swej w domu nie uczą czytać i pisać po polsku, nie zapoznawają jej z dziejami i z dziełami pisarzy naszych. Wszyscy ci grzeszą ciężko wobec swej narodowości, więc też słowa kanclerza szczególnie powinni wziąć do serca.

I my nie znajmy żartów w sprawach narodowych, nie kalajmy imienia polskiego płaszczeniem się przed obcymi, całowaniem rąk, które nas biją; nie podkopujmy podstaw narodowej egzystencyi naszej dawaniem chleba obcym, gdy tylu naszych go łaknie, nie zanośmy grosza naszego wrogom, gdy rząd miliony wyznacza na to, aby ci wrogowie mocniej jeszcze ekonomicznie gnębić nas mogli. Traktujmy poważnie obowiązki względem narodowości naszej, nie narażajmy *dobrowolnie* dziatwy naszej na obce wpływy, gdy już z konieczności w szkołach aż nadto im podlegać musi, a przedewszystkiem trzymajmy się wszelkiemi siłami ojcowizny naszej, ziemi polskiej. Wyrzućmy niemieckie słowa i niemieckie obyczaje z domów naszych, niech domy polskie staną się prawdziwemi świątyniami ducha polskiego. O tem niech pamiętają, zwłaszcza rodacy na obczyźnie, najbardziej zagrożeni duchem i wpływem niemieckim.

Jeżeli pan hr. Bülow nie zna żartów w sprawach narodowych, chociaż narodowości niemieckiej nic nie grozi, o ile więcej my znać ich nie powinniśmy, gdy w naszą narodowość bije cios po ciosie. Nam wiecznie brzmieć powinny w uszach i w sercu gromkie słowa dzielnego obrońcy naszego, posła Czarlińskiego, że *bylibyśmy łotrami, gdybyśmy nie bronili narodowości naszej.*

Narodowiec.

Gdzie wyższość ducha i kultury?

Niemcy na wszystkie tony przechwalają się ustawicznie wyższością swej kultury i ducha swego wobec nas. Twierdził to nawet nasz „sprzymierzeniec," poseł centrowy Dr. *Fritzen*, podczas ostatnich obrad w sejmie pruskim nad sprawą polską.

A jak się ta rzekoma wyższość przedstawia w rzeczywistości, w świetle faktów i stosunków polsko-niemieckich?

Naród „wyższy duchem i kulturą" nie potrzebowałby chyba chwytać się w walce z rzekomo „niższym" takich środków, drwiących z cywilizacyi i kultury, jakiemi posługuje się rząd pruski względem Polaków. Już sama „wyższość" taka zapewniałaby mu zwycięztwo. Niemcy tymczasem skarżą się, że Polacy wypierają ich na każdym kroku, że na całej linii niemczyzna cofa się przed polskością. Jakże to pogodzić jedno z drugiem?

Teraz, z okazyi ogólnego poruszenia, wywołanego sprawą wrzesińską, prasa niemiecka twierdzi, że Polacy muszą posiadać wielką a ścisłą i sprężystą organizacyą, jakieś tajne władze narodowe, kierujące całym ruchem narodowym. Inaczej tej naszej solidarności i siły odpornej, jaka się w ostatnim czasie tak dobitnie objawiła, wytłomaczyć sobie nie mogą. Dalej majaczą wciąż o rzekomem poparciu, jakiego doznajemy z wielu stron niechętnych Niemcom, n. p. od zakonu Jezuitów i t. d.

Jest w tem, co prawda, dużo perfidii. Przewódzcy ruchu antipolskiego pragną tem uzasadnić i uniewinnić barbarzyńskie swe pomysły i czyny. Jednak twierdzenia te znajdują wiarę w najwyższych nawet kołach.

Na czem to polega? Oto jedynie na tem, że Niemcy do tak silnego, jednolitego życia narodowego, jak nasze — w podobnem do naszego położeniu nie byliby zdolni. Niemcy wogóle nie pojmują, jak może istnieć i rozwijać się naród bez politycznie niezależnej egzystencyi, bez własnego rządu, bez państwowej organizacyi. Gdziekolwiek znaczniejszy odłam narodu niemieckiego dostał się pod obce panowanie, tam jeźli niegodnem służalstwem nie zdołał sobie wyżebrać opieki rządu — jak np. w Rosyi, w prowincyach nadbałtyckich, narodowo ledwie wegetował, marniał i w końcu zupełnie zatracał swą narodowość. Tak było np. w Alzacyi i Lotaryngii, a podobno także w Szlezwiku za rządów duńskich, tak jest w Ameryce północnej, gdzie ogromna większość imigrantów niemieckich dawno już się zanglizowała, I Niemcy w Kurlandyi

nie byliby dziś już Niemcami, gdyby nie byli sobie okupywali pewnej tolerancyi — służąc rządowi rosyjskiemu za narzędzia powolne a gorliwe do gnębienia innych. Dziś, gdy rząd tam nie potrzebuje już takich ich usług — lecz tak samo ich traktuje, jak inne narodowości, jęczą w niebogłosy, że niemczyzna gwałtownie cofa się i upada.

A jakże było w Niemczech samych? Dopóki nie dostały się pod władzę Prus, o jedności i solidarności nie było mowy. Dzisiejsza jedność nie jest też wynikiem potrzeby serca i ducha — lecz jedynie dziełem gwałtu, przemocy i siły — no i rozbudzonych złych instynktów, jak pychy, buty i zaborczości. Potrzeba było żelaznej ręki Bismarka, aby rzeszę niemiecką skleić w jednę całość państwową. Przeciętny Niemiec tam też tylko występuje śmiało i butnie, gdzie czuje za sobą potężną dłoń rządu swego. Pozostawiony samemu sobie, pokornieje i schlebia tym, od których coś uzyskać pragnie.

I w dzisiejszej walce z żywiołem polskim widzimy to samo. Cała pięćdziesięciomilionowa rzesza niemiecka nie może podołać garstce Polaków i wciąż zebrze poparcia rządu.

Gdzież tu wyższość ducha i kultury? Mniemanie, że Polacy posiadają organizacyą własną, coś z rodzaju tajnego rządu, że mają na swe usługi rzekome miliardy zakonu Jezuitów — jest mylnem, jest po prostu powiedziawszy, maniactwem. Organizacya taka nie istnieje nawet na papierze — a Ojcowie Jezuici także nam jeszcze ani feniga nie dali. Władzą narodową jest u nas jedynie silny i niespożyty duch polski, potężne poczucie narodowe. Ono to spaja nas poprzez granice polityczne w jeden nierozdzielny naród, ono daje nam ów hart, ową zdolność odporną, o którą kruszą się zakusy naszych wrogów. Nas nie potrzeba napędzać do jednej owczarni narodowej siłą bagnetów, jak to czyniły Prusy w roku 1866, nam nie potrzeba żelaznej ręki jakiegoś tam Bismarka, abyśmy wiedzieli, co mamy czynić, jak się bronić, jak pracować dla lepszej przyszłości. Nauczyła nas tego stuletnia przeszło niewola. Żyjemy ot, walczymy i rozwijamy się bez wspólnego pasterza; w chwili niebezpieczeństwa każdy z nas wie, co mu czynić wypada, gdzie spieszyć na wyłom, jak służyć naszej sprawie ramieniem i mieniem.

Czyż byłoby to możliwe — gdybyśmy rzeczywiście kulturalnie stali niżej od Niemców? Przenigdy! Właśnie zdolność obronna każdego narodu, zdolność przetrwania i pokonania najtrudniejszych warunków bytu zależna jest od jego stopnia kultury. Ponieważ zaś mamy zdolność odporną taką, iż Niemcy podołać nam nie mogą — więc też kultura nasza nie może być niższą od ich kultury. Siłą ducha zaś, zwłaszcza ducha narodowego przewyższamy ich, jak dowodzą fakta, ogromnie.

Piśmiennictwo nasze nie ustępuje w niczem niemieckiemu, nauka i sztuka kroczą z postępem czasu i dały światu dużo dzieł pierwszorzędnej wartości, nawet handel i przemysł rozwijają się — w miarę możności. Trudno bo żądać od narodu, rozdzielonego na trzy części, zmuszonego liczyć się z trojakimi stosunkami i warunkami bytu ekonomicznego, aby i pod tym względem, najbardziej zależnym od stosunków politycznych, dorównywał innym, żyjącym w szczęśliwszem, pomyślniejszem położeniu. Zresztą sami Niemcy przyznają, że w zaborze pruskim nawet pod względem ekonomicznym staliśmy się dla nich niebezpiecznymi przeciwnikami. Nie mamy tu setek milionów na kolonizacye — a przecie, jak to poświadczył sam hr. Bülow w sejmie, odzyskaliśmy setki tysięcy utraconej dawniej nieopatrznie ziemi.

Śmieszna jest tedy ta chełpliwość niemiecka, a wręcz wstrętna, gdy wychodzi z ust posła katolickiego.

Ordon.

Wyznaczmy nagrodę!

Półurzędowy organ rządu pruskiego: „*Berl. Polit. Correspondenz*“ a za nim organ kanclerski „*Nordd. Allg. Ztg.*“ wystąpiły z twierdzeniem, że teraz, po trzydniowej dyskusyi nad sprawą polską w sejmie pruskim — nie może już być wątpliwości, iż istnieje nielegalna agitacya polska, zamierzająca do oderwania od państwa „byłych“ polskich dzielnic. Wykazać to miał „materyał, nagromadzony w dyskusyi;“ żadna też z istniejących w sejmie partyi (ma być zapewne: niemieckich) — nie zaprzeczyła istnieniu takiej nielegalnej, a dla państwa niebezpiecznej agitacyi.“

Faktem jest, że podejrzenie a raczej posądzenie, iż agitacya taka istnieje — przebijały ze wszystkich niemal mów niemieckich, zarówno ministeryalnych, jak i poselskich, nie wyjmując nawet mowy posła centrowego *Fritzena*. Ale — były to tylko posądzenia, przypuszczenia, dowodu na to nie dostarczono. O usunięciu zatem „wszelkiej wątpliwości co do tego“ — jak to podoba się twierdzić oficyalnym organom — ani mowy być nie może.

Gazety te nie powiedziały nam zresztą nic nowego. Twierdzenia takie napotykamy już od dawna w prasie hakatystycznej. W ostatnich zaś dniach dowiedzieliśmy się ku niemałemu zdumieniu, że komitet, kierujący taką agitacyą, ma urzędować w *Zakopanem* (pewnie na Giewońcie lub innym jakim najwyższym w Polsce szczycie) i że głównym jego organem jest lwowski „Przegląd Polski“ — cierpiący bezustannie na... brak czytelników. Wprawdzie co do siedliska tego „tajnego rządu polskiego“ panuje w prasie nam wrogiej widoczna niepewność; inne bowiem źródła wymieniają jako tego rodzaju „stolice Polski:“ Watykan w Rzymie, Petersburg, Warszawę, Lwów, Kraków, a nawet Wrześnią. Ale mniejsza o to. Najnowszym wynalazkiem jest *Zakopane,* niechże tedy jemu przypadnie zaszczyt kierowania losami Polski. Trochę tam teraz zimno — mimo zimy łagodnej — ale mniejsza o to. Gorąca krew polska pozostaje ciepłą podobno nawet wtedy, gdy już i rtęć marznie.

Żart — żartem — sprawa to dość poważna. Takiemi bredniami oto i „wynalazkami“ podburzają całe Niemcy przeciwko nam i uzasadniają nawet najgorsze prawa wyjątkowe. Jakże zaś wykazać ich bezpodstawność i bezsensowność? Zadanie to bardzo trudne. Twierdzeniom prasy polskiej hakata i obecny rząd hakatystyczny nie dają wiary, nawet ich nie powtarzają. Trzebaby tedy obmyśleć coś innego.

Poddajemy więc pod rozwagę następujący pomysł:

Sprawa wrzesińska wykazała, że mamy jeszcze trochę grosza na

sprawy publiczne, że gdy chodzi o wzniosłe cele, zawsze się jeszcze znajdzie kilka tysięcy, gdyż nawet najubożsi od ust sobie odejmą, a dadzą. I wykazanie prawdy jest celem wzniosłym, a więc nie poskąpmy i na to datków.

Policya pruska straciła wprawdzie dużo z dawniejszej sławy w procesie Sternberga i w procesie chojnickim; w pierwszym pokazało się, że miała między sobą nawet wyższych urzędników, przystępnych dla „łapówek“; (brzydkie to słowo, piękniejsze niestety na razie nam nie wpada pod pióro;) w procesie chojnickim zaś nie umiała sobie zdobyć 30,000-nej nagrody. Aleć to wyjątki tylko. Po zatem ma „węch“ dobry, zwłaszcza w sprawach politycznych, na co dowodem procesy polskich gimnazyastów i akademików oraz aresztowanie dr. Rakowskiego — no i usuwanie rozmaitych groźnych dla państwa pruskiego „emblematów“ polskich ze sal, okien wystawnych a nawet z krawatek polskich. W dziedzinie politycznej jednej tylko rzeczy wyśledzić jeszcze nie zdołała, i to właśnie tajnych akt oraz emisaryuszów owego „*zakopańskiego*“ rządu polskiego. Mimo tylu zabiegów nie wykryto i nie ujęto dotychczas nawet jednego jedynego świstka, z któregoby wynikało jasno i dowodnie, jakie to już uknuliśmy spiski celem oderwania dzielnic polskich od Prus i rozbicia potęgi niemieckiej. To przecie wprost upokarzające dla policyi pruskiej, musi jej też zaszkodzić w opinii całych Niemiec. Jakże ją wybawić z tego przykrego położenia?

Wiadomo, że kanclerz hr. Bülow zapowiedział już nowe dodatki do pensyi urzędników pruskich w dzielnicach polskich. Ze nasamprzód przypadną one w udziale nauczycielom niemieckim i zniemczonym urzędnikom policyi, to nie ulega wątpliwości żadnej. To przecież dziś u nas najważniejsze dwie kategorye hierarchii urzędniczej. Ale skarb pruski w opałach, ma niedobór, więc też zbyt hojnemi owe dodatki nie będą. A tu wykrycie groźnej agitacyi takiej wśród Polaków trud niemały...

Dopomóżmy tedy rządowi i hakacie. Zebraliśmy na Wrześnią 150,000 mk., ofiarność nasza wzbudza podziw wśród Niemców. *Zdobądźmy się tedy na nowe chociaż 30,000. I tę kwotę wyznaczmy jako premię dla tych urzędników pruskich, którzy wykryją:*

a) że pomiędzy trzema zaborami, to jest pomiędzy ludnością polską tych zaborów istnieje faktyczne porozumienie co do rzekomego oderwania ziem polskich od Prus.

b) że istnieje jakaś tajna władza polska, która kieruje temi usiłowaniami i że ma swe organa także w zaborze pruskim.

c) że wogóle istnieje jakaś agitacya polska, *wroga* dla państwa pruskiego i rzeszy niemieckiej, to jest godząca w byt *polityczny i narodowy* zarówno całych Niemiec i Prus jako państwa, jak i w byt poszczególnych jednostek niemieckich.

d) że zajścia we Wrześni były owocem tej agitacyi, owocem ukrytych jakichś agitatorów — (bo i ten zarzut pojawia się bez końca.)

Prasa polska powtarza ustawicznie i zaznacza, że agitacya *taka* nie istnieje, że Polacy bronią tylko swego przez Boga im danego stanu posiadania, swej *ziemi, swej narodowości, swego języka, swego ducha narodowego,* że czynią to bez wyraźnego *porozumienia* ogółu całego, jedynie siłą poczucia narodowego każdej jednostki, że opór dzieci gnieźnieńskich to tylko zupełnie naturalny odruch zagrożonej i ranionej w swych najświętszych uczuciach ludności polskiej, — ale rząd i hakata wiary temu nie dają. Niechże tedy dostarczą na to dowodów!

Dopomóżmy im do tego wyznaczeniem odpowiedniej premii. Jak ów poseł Krzywoustego dumnemu cesarzowi niemieckiemu rzucił „złoto do złota“ — tak i my z własnej dobrej woli dorzućmy nasz grosz wdowi do dodatków państwowych — aby wyszła na jaw — *prawda!*

Trzydzieści tysięcy, to ładna kwota. Doda też ona tym, którzy śledzą za taką niebezpieczną agitacyą polską, bodźca tęgiego, pomnoży ich gorliwość, ułatwi im poszukiwania, a nawet podróż do Zakopanego i wdrapanie się na najwyższe szczyty Tatr polskich. Ztamtąd wzrokiem ogarną spory szmat kraju, może i „hersztów“ polskiej rewolucyi wypatrzą.

O nagrodę tę pozwólmy także ubiegać się tym, którzy dobrowolnie dopomagają policyi pruskiej w szukaniu i ściganiu winowajców.

Dalej tedy do rzeczy! Sądzimy, że pomysł nasz znajdzie uznanie. Gdzie chodzi o wykazanie prawdy — nie powinniśmy żałować grosza. Jeżeli zaś rząd mimo to nie znajdzie namacalnych dowodów, to nie bardzo to już naszą winą, lecz winą policyi pruskiej. Tej zaś chyba o „wielkopolską agitacyą“ nikt posądzać nie będzie.

Żart żartem, ale możeby się na seryo takie premium przydało?

Pana Wagnera zaś, szefa sztabu hakaty, prosimy, aby i ten nasz pomysł zamieścił w głosach „*prasy polskiej*“. *Verus.*

Białe kruki.

Nie braknie w Niemczech ludzi, którzy widzą to dobrze, że naród niemiecki, stanąwszy na szczycie potęgi ziemskiej, popadł w niebezpieczny obłęd, zwany manią wielkości. Z obłędu tego wynikają rozmaite inne niemniej dla duszy ludzkiej niebezpieczne teorye, jak np. owo pojęcie *nadczłowieka*, któremu wszystko wolno, który dla własnej przyjemności i korzyści ma prawo deptać innych, lekceważyć zarówno porządek Boży i przyrodzony jak i wytworzony przez cywilizacyą i kulturę. Ta teorya tak się dziś w Niemczech przyjęła, że naród niemiecki, podobnie jak ów obłąkany jego filozof, uważa się cały niemal za nadczłowieka, za *nadnaród*, któremu wszystko na świecie winno się podporządkować. Te — nieliczne zresztą jednostki — które widzą to — czują, że teorya ta musi doprowadzić naród niemiecki rychło do zu

pełnego moralnego rozstroju a w następstwie do państwowego i narodowego upadku. Żaden naród bowiem, który wyzbył się poczucia moralności i poważania dla prawa — w wirze toczącej się bezustannie walki ostać się nie może. To też z inicyatywy tych jednostek powstał w Niemczech prąd, dążący do moralnego odrodzenia się społeczeństwa niemieckiego. Wobec rozpanoszonego obłędu owego, rozwija się on jednakże bardzo powoli i nielicznych tylko ma zwolenników. Organem prądu tego jest wychodząca w Berlinie „*Zeitschrift für ethische Kultur*“.

Ciekawem było, jakie też stanowisko zajmie to pismo wobec sprawy wrzesińskiej? Otóż odpowiedź na to przyniosły nam niedawno numery tegoż pisma. Pochwalenie albo przemilczenie faktów wrzesińskich nie dało by się pogodzić z dążnościami tego „prądu etycznego“, więc też pismo to odezwało się i to nawet silnie z potępieniem. Przytaczamy urywki z tego oderwanego głosu, nie dlatego, abyśmy do niego przywiązywali zbytnią wagę, ale w tym celu, aby Czytelnicy nasi poznali sposób zapatrywania tych tak rzadkich *białych kruków* niemieckich.

Artykuł nosi tytuł „Germanisierung“, autor zaś jego powiada:

„Wypadki wrzesińskie i ich epilog sądowy zawsze jeszcze zajmują opinię publiczną. Szkoda, że opinia ta jest tak bardzo rozdwojona. Nasze stronnictwa państwowe wraz z ich dziennikarstwem aż daleko do kół liberalnych z lewicy, wysławiają energię rządu, który nie chce dopuścić, aby „niemieckość dostała się pod koła“. Cudzoziemcy, i to nietylko Polacy sami, ale dość zgodnie wszyscy nieprusacy, potępiają jednomyślnie brutalstwa przymusowej germanizacyi, przez bicie dzieci kijem i przez więzienie, wyznaczane jako kara dla oburzonych rodziców. A jeżeli teraz polscy studenci w salach wykładowych berlińskiego uniwersytetu demonstrują, a kupcy z Krakowa i Warszawy za stosunki handlowe z Niemcami dziękują, wskazując na Wrześnię — to naturalnie nie jest to czem innem, jak zaślepionym szowinizmem (?) antigermanów i podsycanym przez podżegaczy fanatyzmem (?) nienawiści ku Niemcom i protestantom — jak gdyby nie można, nie będąc wcale katolikiem, Polakiem, wrogiem Niemiec i Prus, lecz tylko uczciwym Niemcem i Prusakiem, uczuwać niezmiernego obrzydzenia do germanizacyi tego rodzaju!

„Nikt nie waży się — i to jest charakterystyczne — bronić takiej germanizacyi bezwzględnie. Może być ohydnem *rabować* dzieciom ich mowę ojczystą, ludzi karać za ich przywiązanie do swej narodowości i swej historyi, tak zwany patryotyzm wbijać za pomocą chłosty, głodu i więzienia, ale: jest to racya stanu. Oto jest bożek! Rzućmy mu pokornie pod stopy nasz rozsądek i nasze przekonanie. „Wielkie niebezpieczeństwo polskie!“ Oto broń naszej mądrej dyplomacyi.

„Jeżeli Niemcy „obawiają się“ czegoś jeszcze (oprócz Boga), to niepotrzebnie robią — doświadczenia. Germanizacya to znaczy — albo stawianie wyższej kultury na miejsce niższej, albo — bezprawie. Germanizacya jest w tej chwili *głupim i zupełnie beznadziejnym sportem*, szczególnie przy takich środkach. Czy bowiem landrat pruski w porównaniu ze starostą, komisya kolonizacyjna ze szlachtą, szkoła i pedagogika bata (Prügelpedagogik) ze szkołą narodową, sejm pruski wobec osławionego polskiego — są tak czemś bezwarunkowo *wyższem* nietylko nawet w oczach ludności polskiej?

„Czyż w kołach rządowych zawsze jeszcze nie przeczuwają nawet, że człowiek, wszystko jedno, czy Prusak, Polak, Duńczyk, Francuz itp. nie pozwala bezkarnie naruszać tego, co mu jest najświętsze, chociaż by to w naszych oczach było czcią bałwochwalczą? Czyż zawsze ten nieszczęsny obłęd, że gwałt może stworzyć pokój, będzie zatruwał wszystkie stosunki między ludźmi? Dopiero, gdy nasi mężowie stanu zrozumieją, iż minął już czas dawnych złudzeń i że sztuka polityczna znaczy to samo, co trudna sztuka krzewienia w granicach nacyonalizmu — kultury etycznej i intelektualnej, dopiero wtedy — będziemy mogli się cieszyć znowu, że jesteśmy Niemcami“.

W innym artykule tenże tygodnik czyni uwagi z racyi niektórych słów podsądnych w procesie wrzesińskim, a zwłaszcza pamiętnej odpowiedzi: Pan Bóg chce, aby każdy modlił się w tym języku, jaki mu Bóg dał.“

„Niestety — pisze „Ethische Kultur“ — nie mamy doniesienia, jakie miny zrobił na tę odpowiedź wysoki trybunał sądowy i pan inspektor szkolny wraz z nauczycielami. Ale te pobożne, z dziecinnej wiary płynące słowa kobiety: „Pan Bóg chce, żeby każdy modlił się w tym języku, jaki On mu dał“ — te słowa zalecilibyśmy żywo do rozmysłu naszemu pruskiemu ministrowi wyznań i panom radzcom konsystoryalnym i szkolnym. Wszak ozdabia się chętnie domy chrześciańskie pobożnemi orzeczeniami. Jakżeby to dobrze było, gdyby na koszt państwa owo zdanie we wszystkich biurach naszej pruskiej administracyi szkolnej wywieszono w ramkach za szkłem“.

Oczywiście, rada ta pójdzie na marne.

Wywody powyższe komentarza nie potrzebują. Na jedno tylko zwrócimy pismu „Ethische Kultur“ uwagę. Gniewa ono się na demonstracye polskie i bojkot handlu niemieckiego i pisze, że przecie można być Niemcem i Prusakiem — „*a jednak uczuwać niezmierne obrzydzenie do germanizacyi tego rodzaju.*“

Otóż największe nieszczęście, że takich *uczciwych* Niemców i Prusaków „*brzydzących się germanizacyą*“, jest tak mało, iż trzeba ich zaliczyć do „białych kruków“. Gdyby nie to, gdyby było ich więcej a niebyło germanizacyi — nie byłoby też antiniemieckich polskich demonstracyi, ani bojkotu ze strony polskiej. Zaręczamy to na *słowo.*

Czujny.

Uczmy się!

Dnia 18, 19 i 20 lutego r. b. odbędą się znów w Poznaniu wykłady naukowe dla urzędników gospodarczych. Wykłady te, rozpoczęte przed kilku laty w bardzo skromnych rozmiarach, rozszerzyły się znacznie, obejmują wszystkie gałęzie gospodarstwa, a co najważniejsze, zyskują wśród tych, dla których są podejmowane, coraz większe uznanie i coraz więcej przynoszą im pożytku. Stały się też już jakoby zawiązkiem akademii rólniczej w skromnych rozmiarach. Urządzenie ich policzy zapewne przyszłość za jednę z największych zasług Centraln. Towarzystwa Gospodarczego.

Księstwo nasze właśnie pod względem wyższych szkół fachowych traktowane było przez rząd dotychczas wręcz po macoszemu. Wyższą rólniczą szkołę polską — jaka istniała przed laty — zniesiono — a w zamian nic nam niedano. Dwie czy trzy małe szkółki gospodarskie dla synów włościańskich zastąpić jej chyba nie mogą. Są to zresztą szkoły o bardzo szczupłym zakresie nauki a nadto z językiem wykładowym niemieckim, który włościańskiej młodzieży naszej bardzo utrudnia należyte z nich korzystanie. Jest to po prostu anomalią, krzyczącą krzywdą, że prowincya może najbardziej rólnicza ze wszystkich prowincyi, tworzących monarchią pruską — wyższej szkoły rólniczej nie posiada. Widocznie stoją temu na przeszkodzie znów względy narodowościowe, obawa, że i takie szkoły mogłyby się stać środowiskami i ogniskami jakiejś tam wielkopolskiej agitacyi. Śmieszne to — ale rady na to nie mamy.

Jedynym sposobem zaradzenia cho-

ciaż w części brakowi temu, *to pomoc własna* i tego też sposobu chwyciło się Centralne Towarzystwo Gospodarcze. Nie wielu tylko z młodzieży naszej, pragnącej się poświęcić służbie gospodarczej — ma na to, aby zdobywać sobie potrzebną do tego wiedzę w prowincyach sąsiednich, w istniejących tamże szkołach. A bez teoryi, a bez znacznego nawet zasobu wiedzy — racyonalne gospodarstwo stało się dziś niemożliwem. Praktyka sama dawno już nie wystarcza. I z tej też pewnie przyczyny spotykamy jeszcze w dobrach polskich dość często urzędników niemieckich, którzy właśnie pod względem teoretycznego wykształcenia przewyższają wielu z naszych. Kto wie, może właśnie dlatego nie spieszy się rząd z zakładaniem u nas szkół rolniczych, aby polskich właścicieli ziemskich zmusić wprost do zatrudniania niemieckich? Słusznie tedy podjęto te starania, aby i polskim urzędnikom ułatwić przyswajanie sobie tak niezbędnej wiedzy.

Chodzi teraz o to, ażeby z wykładów tych korzystało *jaknajwięcej* urzędników polskich. Wymaga tego własny ich interes, własne ich dobro. Stosunek pomiędzy pryncypałami a oficyalistami rólniczymi u nas, nie jest jeszcze takim, jakim być powinien. Dawny patryarchalizm najdłużej się tu jeszcze utrzymał ku wielkiej szkodzie dla stron obydwóch. Nie braknie majątków, w których urzędnika gospodarczego stawia się jeszcze na równi z lokajem i tak samo traktuje. Zapomina się o tem, że urzędnik ma być w całem tego słowa znaczeniu *zastępcą* pryncypała, że od jego sumienności, pracy i wiedzy zależy w wielkiej mierze lukratywność warsztatu rólniczego, że nie jest on tylko na to, aby służył ku osobistej wygodzie — jak lokaj, lecz by pomnażał majątek swego szefa. Już z tego powodu inaczej go trzeba wynagradzać, inaczej traktować. Upokarzając go, pozbawia się go poczucia godności własnej, ambicyi, tych dwóch głównych bodźców do dalszego kształcenia i doskonalenia się, do pięcia się coraz wyżej, a także do *honorowego*, sumiennego wypełniania obowiązków. Z tym patryarchalizmem koniecznie do reszty zerwać należy. Dziś każdy urzędnik, pracujący uczciwie i rzetelnie, powinien i u nas cieszyć się poważaniem, jakie posiada już we wszystkich cywilizowanych krajach.

Ale i urzędnicy — wszyscy bez wyjątku starać się o to powinni, aby mogli być rzeczywiście zastępcami panów, aby posiadali *prawo* do godnego obchodzenia się z nimi. Do tego potrzeba zaś, obok prawdziwej uczciwości, przedewszystkiem wyższego stopnia wykształcenia, tego głównego warunku towarzyskiej równości. Kto się o to nie ubiega, nie powinien się dziwić, że uważa się go jedynie za „ekonoma“, włódarza. Jeżeli żądamy słusznie, aby polscy właściciele ziemscy w dzisiejszych czasach *koniecznie* dawali pierwszeństwo Polakom, to też nie powinniśmy im brać za złe, iż wymagają, ażeby polski urzędnik posiadał pod każdym względem te same, co przybysz obcy kwalifikacye. Kroczymy z postępem czasu, który właśnie na rólnictwie wyciska dziś właściwe sobie piętno. Może to być przykrem dla nas, ale jest i pozostanie prawdziwem, że wielu, bardzo wielu z naszych urzędników w innych dzielnicach ani przez jeden dzień wymaganiom odnośnym sprostać by nie zdołali.

Ziemia to najważniejszy skarb nasz narodowy i ekonomiczny. Jeźli mamy ostać się wśród prawdziwej powodzi ciosów i przeciwności, musimy jej bronić „unguibus et rostro“ „dziobem i szponami“ — wszelkiemi siłami. Żądamy tego od naszych ziemian, a musimy żądać także od naszych urzędników gospodarczych. I od nich bowiem ogromnie dużo nieraz zależy, czy dany im pod nadzór kawał ziemi da się utrzymać w polskich rękach. A przecież są *obywatelami i Polakami* porówno z pryncypałami swymi — i tak samo dbać powinni o całość tej najświętszej po przodkach spuścizny.

Ze wszystkich tych względów powinni — zwłaszcza młodzi — korzystać z urządzanych dla nich wykładów *jaknajliczniej*. Udział w nich rozszerzy ich zakres teoretycznej wiedzy, nadto zaś rozbudzić może poczucie solidarności i *koleżeńskości*, której również bardzo im brakuje, na co dowodem niepomyślny wręcz stan Towarzystwa urzędników gospodarczych. W prowincyi, jak nasza, powinno być przecie stokroć silniejsze co do liczby członków i zasobów, niż jest dzisiaj. Za mało jest jeszcze wśród urzędników naszych tego poczucia, które Niemcy nazywają *„Standesehre.“* Przyjdzie ono dopiero z wyższym stopniem wykształcenia i dlatego gorąco apeluję do wszystkich kolegów zawodowych, aby w tym roku wprost *tłumnie* zjechali do Poznania. Dajmy dowód dobrej naszej woli — to już przez to zdobędzie nam wyższy szacunek. Do widzenia tedy w Poznaniu!

Kolega.

Z TYGODNIA.

Ubiegły tydzień będzie pamiętnym w dziejach narodu naszego a przedewszystkiem zaboru pruskiego. Prysły ostatnie złudzenia, jakoby między rządem pruskim a ludnością polską mógł istnieć jakikolwiek pokojowy „modus vivendi“ — prócz tego naturalnie, do którego zmusza nas przynależność nasza do Prus. Z najwyższych sfer proklamowano znów przeciwko nam *walkę* i to walkę bez końca, bez wytchnienia, niezmienną, nieodwołalną. Cóż robić? Musimy ot walczyć! Dziękujmyż Bogu, że nas całym wiekiem niedoli zaprawił należycie do takiej walki i tak nas uzbroił, iż się wyniku jej obawiać nie potrzebujemy.

Walka ciągła, bezpardonowa nie jest wprawdzie przyjemnością, ale i do niej w końcu przyzwyczaić się można. Spokojnie tedy wyczekiwać możemy ataków nieprzyjacielskich. Jest przecie i Bóg nad nami, bez którego woli włos nam z głowy nie spadnie.

Walka w sejmie była dla nas widowiskiem naprawdę ciekawem, ciekawem z powodu rozpaczliwych wręcz wysiłków panów ministrów i ich adherentów, aby jako tako chociaż przed światem uzasadnić, albo przynajmniej upozorować dalszą germanizacyą Polaków, a mianowicie ze względu na postawę rozmaitych stronnictw. Faktem niestety jest, że od roku 1886, gdy to Bismark rozpoczął nową erę polityki antipolskiej, politykę „wielkich środków“ — postawa rozmaitych stronnictw zasadniczej uległa zmianie. Wówczas jeszcze i między *konserwatystami* nie brakło ludzi, którzy niechętnie tylko godzili się na taką politykę i mieli pewne co do etycznej jej strony wątpliwości.

Dziś całe to stronnictwo płynie z falą hakatyzmu. I *centrum* już nie takie, jakiem było za *Windhorsta*: i to stronnictwo dziś zaczyna coraz widoczniej ulegać prądowi szowinistycznemu. Najwstrętniejszem zaś jest to jego bezustanne narzucanie nam się na mentora, to pyszałkowate pouczanie nas, co mamy czynić, a czego zaniechać. Ubliża to wprost naszej godności narodowej. Coraz też widoczniej broni nas centrum jedynie ze stanowiska katolickiego, jako zagrożonych rzekomo protestantyzacyą, coraz rzadziej zaś słyszymy z ust mówców centrowych bezwzględne uznanie naszych praw *narodowych*. Na niem to najwymowniej sprawdza się przysłowie, że „zły przykład psuje dobre obyczaje.“ Na pomoc z tej strony spuszczać się już nie możemy. Najmniej jeszcze ule-

gli ogólnemu prądowi antipolskiemu wolnomyślni obozu Richtera. Ci nigdy nam nie okazywali *serdecznej* sympatyi, byli zawsze wobec nas *Niemcami* — ale trzymali się prawa i konstytucyi. Więcej od nich żądać nie możemy, więcej też od żadnego Niemca nie żądamy. To też przyznać się musimy, że najsympatyczniejszą z mów opozycyi niemieckiej była dla nas mowa wolnomyślnego *Kindlera*.

Ten przynajmniej nas nie łudził, nie mamił udaną „miłością," a bronił równouprawnienia naszego.

Bynajmniej atoli nie chcemy przez to zalecać jakiegokolwiek zbliżenia do jego partyi. Niech nas Pan Bóg broni, wyszlibyśmy na tem, jak „Zabłocki na mydle." Konstatujemy jedynie, co zasługuje na uznanie. Po zatem: *bądźmy sobą!* Nie liczmy na nikogo, jeno na własne siły i Boga. Na tej drodze najdalej zajdziemy. Fakt, że hakatyzm ogarnia coraz szersze koła — zmusza nas wprost do tego,

Obok walki, walnej bitwy w sejmie, toczyły się także utarczki polsko-niemieckie w parlamencie. Tam sprostował książę *Radziwiłł* fałsze *Sattlera*, a na pogróżkę Bülowa, że w „sprawach narodowych nie zna żartów", odpowiedział trafnie, że i my ich nie znamy. Ucieszyło nas też oświadczenie księcia Radziwiłła, że Koło polskie bynajmniej się nie wyrzeka dalszej dyskusyi nad interpelacyą w sprawie Wrześni. Będziemy tedy w parlamencie mieli drugą walną bitwę.

Przy generalnych obradach nad etatem w sejmie pruskim, w tym roku bardzo krótkich, wykazywał ks. dr. *Jażdzewski* całą stronniczość wydatków na popieranie niemczyzny u nas, ich sprzeczność z konstytucyą, a w końcu ujął się za Towarzystwami polskiemi na obczyźnie, od których policya znów bezprawnie żąda, aby posługiwały się na zebraniach językiem niemieckim. Ponieważ minister dał na to wymijającą odpowiedź, nie pozostanie Towarzystwom tym nic innego, jak znów upomnieć się o swe prawa na drodze sądowej.

Jeżeli już u nas mowy takich szowinistów, jak *Sieg* i *Goerdeler* i *Tiedemann*, pełne fałszów i nienawiści, nie przyniosły niemczyźnie zaszczytu, to w *Austryi* wprost od wstydu zapłonąć powinna wobec tego, co się stało w ubiegłym tygodniu w *Trutnowie* w Czechach. Odbyły się tam ponowne wybory do rady państwa z powodu złożenia mandatu przez *Wolffa* i z urny wyborczej ponownie wyszedł zwycięzko ten sam *Wolff*, uwodziciel, kłamca, wspólnik zbrodni, kwalifikującej się przed sąd przysięgłych i fałszerz opinii! Uznano go godnym zasiadania w gronie prawodawców i teraz ten *Nadniemiec*, ten przedstawiciel „najnowszej" niemieckiej „kultury", będzie mógł dalej pod osłoną nietykalności poselskiej uprawiać proceder wyzyskiwacza i burzyciela.

Fakt ten świadczy o zupełnym zaniku wszelkiego poczucia moralnego wśród Niemców austryackich, a jest wręcz niepojętym zwłaszcza po nikczemnej polemice, jaką Wolff w ostatnich dniach przed wyborami toczył z mężem uwiedzionej przez siebie kobiety, przyczem z obu stron odsłaniano niesłychane brudy. Wybór Wolffa wywołał rozłam w stronnictwie Wszech-Niemców. Część ich bowiem tylko pozostała przy Schoenererze, reszta zamierza utworzyć nowe stronnictwo — z Wolffem na czele.

I tacy ludzie śmią Polakom zarzucać niższość kultury!!

Cesarz *Wilhelm* stara się usilnie utrzymać dobre stosunki z dwiema potęgami anglosaskiemi, z *Anglią* i z *Ameryką* północną. Do Anglii wybiera się sam i to podobno dwukrotnie w tym roku, do Ameryki wysyła brata swego księcia *Henryka*. Jakiego dozna przyjęcia w Anglii ze strony ludności, trudno przewidzieć. Panuje tam bowiem zawsze jeszcze wrogie dla Niemiec usposobienie z powodu ostatniej mowy Bülowa. Na dobre natomiast przyjęcie liczyć może z góry książe Henryk w Ameryce. Ci republikanie amerykańscy dziwni to ludzie. Niby wysoko dzierżą sztandar republikańskiej równości, a każdej chwili każdemu monarsze, który kraj ich odwiedzi, gotowi bić pokłony do samej ziemi. I teraz gotują się do wielkich owacyi. Będzie tam szumu i huku niemało, czy atoli Niemcy korzyść z tego odniosą, to rzecz inna. Praktyczni Jankiesi trzymają się zasady: „przyjaźń przyjaźnią — a interes interesem" i postępują stosownie do tego. W Niemczech jednakże po tej przejażdżce do Ameryki, która odbędzie się między 13 lutego a połową marca, przywięzują wielkie nadzieje. Oby tylko nie zawiodły...

W *Anglii* wuj cesarza Wilhelma, król *Edward VII*, zagaił dnia 16 b. m. nową sesyą parlamentu mową od tronu. Zapewniał, że stosunki Anglii do innych mocarstw są bardzo dobre i że — rząd dalej wytrwale zwalczać będzie opór Burów, aż do zupełnego podbicia dzielnego narodu tego. Chwalił także wojsko angielskie. Burowie już dali na to odpowiedź. Jak oto donoszą z Afryki, słynny *Devet*, którego uważano znów za zupełnie osaczonego, przebił się przez linie angielskie, a inny oddział Burów zadał porażkę Anglikom i zabrał im 1000 sztuk bydła... Długo zapewne jeszcze będziemy świadkami tego strasznego, a tak pouczającego dramatu.

Biedną *Hiszpanią* trapią bezustannie przesilenia wewnętrzne, polityczne i ekonomiczne. Obecnie znów ma wielki kłopot z strejkiem robotników, który wybuchł w Barcelonie i przybiera coraz groźniejsze rozmiary. Kłopotom tym nie zdoła zaradzić nawet blizkie już ogłoszenie młodego, czternastoletniego króla *Alfonsa* pełnoletnim. Przysporzy to tylko krajowi wydatków, a umysłów bynajmniej nie uspokoi.

Tydzień ubiegły zaznaczył się smutnie dwiema strasznemi katastrofami. W *Gniewinie* w Czechach zginęło w kopalni wskutek zalania wodą 44 górników, w *Zhilpancineo* w Meksyku trzęsienie ziemi pochłonęło 600 ofiar. Na rzecz pozostałych po ofiarach gniewińskich kobiet i dzieci zawsze miłosierny cesarz Franciszek Józef dał 10,000 koron.

Sprawa polska — a specyalnie sprawa wrzesińska nie schodzi jakoś z łamów prasy europejskiej. Obrazki biednej Piaseckiej i dzieci wrzesińskich zamieściły nawet najpierwsze ilustracye francuzkie i włoskie. Wszystkie zaś organa piszą o nas sympatycznie. Straszną też zdaje się być uwaga rosyjskich „Nowoje Wremia", że „nauczyciel pruski, który podobno zwyciężył pod Królowogrodem i Sedanem, jak to twierdzą Niemcy, we Wrześni, poniósł fatalną klęskę!"

K. O.

Przegląd prasy.

Jeżli panowie nacyonał — liberałowie oraz panowie ministrowie pruscy sądzili, że nas ognistem natarciem „w kozi róg zapędzą" — że osobiste wystąpienie Bismarcka nr. 2 (Hr. Bülowa) z pełną patosu estokadą wielkie sprawi wrażenie po stronie polskiej, to się grubo zawiedli. Dawno już jeneralny atak ze strony rządu na szańce nasze nie napotkał po polskiej stronie takiego spokoju, takiej niemal chłodnej obojętności, jak ten ostatni. Jakże inaczej było np. w roku 1886! Ileż to wówczas dzienniki nasze zużyły papieru; czernidła, aby wykazać bezpodstawność czynionych nam zarzutów i całą grozę wymierzonych w nas ciosów. Dziś tu i owdzie ledwie odpowiedziano panom ministrom krótkimi suchymi artykułami, niepozbawionymi nawet... *dobrego humoru*. Resztę pozostawiono posłom naszym — oni też doskonałą dali rządowi odprawę.

Szkoda jedynie, że kilku z nich odcięto od głosu, bo odprawa byłaby się stała jeszcze pieprzniejszą. Ale i tak mają za swoje. Prasa polska zaś ogranicza się na dosłownem powtarzaniu mów pro i contra, swoich i przeciwników. Te też najlepiej okażą, po której stronie słuszność a społeczeństwu nasze-

mu dadzą pogląd na nasze stosunki obecne. „Facta loquuntur“ — fakta przemawiają zawsze stokroć bardziej przekonywająco od najwymowniejszych, najzręczniejszych zwrotów krasomówczych. A faktów w mowach posłów naszych tyle, że przygniatają formalnie stronę przeciwną swym ciężarem.

Chłodno i rozważnie zbija wywody hr. Bülowa **„Kuryer Poznański.“** — Pisze oto, co następuje:

„Jeżeli mąż stanu może ufać, że zapowiedzianemi zewnętrznemi środkami stłumi pulsacye żywego narodowego ustroju, to przypuszczać trzeba, że nie tylko obecnie znajduje się na błędnej drodze, ale że i w przyszłości chyba niczego się nie nauczy i nic nie zapomni. Odgrażanię się za pomocą wyliczania wysokich sum pieniężnych, których przeciw Polakom chce użyć, przypomina kupców żydowskich, którzy chcąc dobić targu i złakomić sprzedającego widokiem pieniędzy, kładą na stół nabity pulares w myśli, że na taki argument niema już repliki.

„W taki sposób nie rozumuje się z rozsądnymi ludźmi. Tak samo, jak widok tysiącmarkówek człowieka trzeźwego nie zbałamuci, tak samo nas groźby i wytoczone przeciw nam miliony nad miarę nie wystraszą. Środki państwowe, choćby największe, są z natury rzeczy ograniczone, zasoby wewnętrzne narodu silnego i energicznego prawie nie mają granic. Milion marek to bardzo dużo, ale jako środek agitacyjny przeciwko Polakom, to znaczy dopiero 33 i jedna trzecia fenyga na głowę a za taką sumę wątpię, aby ktoś zaprzedał swoje przekonania. Sto milionów to dopiero 33 marki na każdego z nas i to więc jeszcze nie jest zbyt wiele, gdy się uwzględni, że człowiek pracujący wart jest ekonomicznie kilka tysięcy przynajmniej. Obiecane fundusze „na popieranie niemczyzny“ będą zatem służyły na zapchanie ust krzyczącemu szowinizmowi, *innego jednak skutku zapewne nie odniosą*. Każdy środek faworyzujący Niemców osłabi nawet w pewnej mierze siłę ich wewnętrzną. Ludzie, którzy wiedzą, że się za nich myśli i działa, zwykli spuszczać się na to i mięknąć w walce o byt w tym samym, jeżeli nie w wyższym stopniu, w jakim przychodzi im z zewnątrz niezasłużona pomoc.

„Sam hr. Bülow przyznaje, że mimo dwustumilionowego funduszu polskość i liczebnie i majątkowo w ostatnich latach się wzmogła. Czyż to nie dowodem, że polityka obecna rządu mylną idzie drogą?

„Jeżeli państwo opiera się na mechanicznych materyalnych środkach, my starajmy się za to wzbić jak najwyżej do punktu widzenia psychologicznego, duchowego. Energia, odporność wewnętrzna i zgodność pomiędzy sobą, to moralne czynniki, nie dające się w żadną cyfrę ująć, *to siły nieprzebrane* i one są dźwignią narodów. Jeżeli będziemy umieli je sobie przyswoić, nie powinny nas straszyć ni pogróżki ni prześladowania.“

Na innem miejscu **„Kuryer“** tak określa rezultat trzydniowej walki:

„Rezultat trzechdniowych zapasów pozostał o tyle niezmienny, że po zakończeniu ostatecznem rozpraw mieli dziś Polacy prawo opuścić salę sejmową z poczuciem zwycięzców i ze wspanialszem jeszcze uczuciem spełnionego wiernie obowiązku.

„Udział publiczności w ostatnich dwóch dniach osłabł, natomiast zainteresowanie na sprawę polską w szerokich kołach nie ustało i rośnie. Słychać o tem nawet na ulicach. Przechodzeń, który tych dni wieczorem szedł ulicą Fryderyka, mógł słyszeć głosy sprzedających gazety: „Vorwärts“, grosse *Polen Debatten* — der wreschener *Krawall* vor dem Abgeordnetenhause — „*Polnischer Granit.*“ Ostatnie wyrażenie oznacza tytuł artykułu „Vorwärts“. Oby polskość pozostała tym *granitem*, o który i najsilniejsze zęby się połamią.“

Podobnie spokojnie i trzeźwo zapatruje się na występ hr. Bülowa nawet zwykle pełna temperamentu krakowska **„Nowa Reforma“** Pisze ot tak:

„Cała rzecz postawiona została fałszywie, kłamliwie. Niemcy nie mieli odwagi powiedzieć: chcemy zgnieść, zdławić Polaków, wydrzeć z nich polską duszę, a włożyć w jej miejsce pruską. Wstyd ich było przyznać się do zamiaru, bądź co bądź, jak na XX wiek i „państwo bojaźni bożej“ równie . . . . jak . . . . . Zarzucili więc kożuszek barani i ukazywali się, jako pokrzywdzeni... Któż jednak uwierzy w tę metamorfozę?

„Jeżeli tedy hr. Bülow wraz z hakatystami sądził, że dyskusya sejmowa wywalczy Prusom laury w Europie, że przekona ją o słuszności postępowania rządu pruskiego z ludnością polską, — *to doznał srogiego zawodu*. I on i wszyscy mówcy z partyi rządowych dowiedli jedynie, że potrafią . . . . . i . siły, że wyzyskując ją, ... nad słabszym od siebie narodem, że z równą łatwością potrafią łamać kostytucyę, jak ją dawać; ale ponadto żadnego innego sukcesu nie odnieśli. Wyszli z tej trzechdniowej dyskusyi zmęczeni, strudzeni, — czując, że nie ruszyli kwestyi polskiej ani o milimetr naprzód.

„Nie ruszyli jej, bo ona doszła już do granic, poza któremi nie ma dla niej miejsca. — Jeżeli rząd pruski stawia Polakom Hamletowską kwestyę: „*być albo nie być*“ — to my zawsze odpowiemy: „*być*“, choćby on nowych 15 garnizonów rzucił w Poznańskie i nowych 100 milionów przeznaczył na wykarmienie pruskich kulturtregerów w ziemiach polskich. Hr. Bülow i p. Tiedemann na spółkę z najwyższemi sferami Prus mogą zrobić wiele, ale przecież *są jeszcze za słabi, aby 20 milionowemu narodowi duszę wydrzeć mogli*.“

I w prasie *niemieckiej* — z wyjątkiem naturalnie hakatystycznej i rządowej, obrady pozostawiły tylko zawód i niesmak. Nawet **„Germania“** berlińska ostro krytykuje wywody mówców ministeryalnych, zwłaszcza pana *Studta*. Oświadczenie tego pana nazywa „zbyt ogólnikowem i porównuje do stuczek kuglarzy, podrzucających i chwytających kilka piłek równocześnie. Cóż mają takie ogólniki, jak ten, że wszyscy obywatele państwa pruskiego powinni władać językiem niemieckim, wspólnego z nauką religii dzieci, które w domu mówią po polsku? pyta się „Germania“ i stwierdza, że przecież niemieckiemu dziecku nikt nie przeczy prawa do wychowywania się w niemieckiej szkole. A czy polskim dzieciom nie daje konstytucya takiego samego prawa? Dziwi „Germ.“ nie mało ustęp oświadczenia, w którym jest mowa o „stanowisku kościelnem“, „odpowiednio“ do którego postępuje się „dla zapewnienia religijnej „strony“ z nauką religii. „Germ.“ przypomina, że p. Studt musiał jednak przyznać, że *ks. Arcypasterz* nie tylko nie współdziałał przy układaniu planu, ale nawet *zaprotestował* przeciw niemieckiej nauce religii. Jakże więc pan minister może jeszcze mówić o „kościelnem stanowisku?“ Wreszcie zwraca „Germania“ uwagę na to, że pan kanclerz zapewnił, iż „*nauka religii nie ma być środkiem germanizacyjnym.*“ Pan kanclerz zatem potępił wyraźnie rozporządzenie ministra oświaty, nakazujące naukę religii w języku niemieckim. Dlatego należy spodziewać się, że pan prezes pruskiego ministerstwa stanu postara się i to jak najprędzej o zniesienie odnośnego przepisu ministra oświaty!

Cenniejszymi jeszcze niż wywody prasy niemieckiej są dla nas głosy prywatnych Niemców, jakie się pojawiają licznie, z okazyi Wrześni i tej nowej kampanii antypolskiej w gazetach niemieckich. Przekonują nas one — że kampania ta zaczyna na dobre drażnić ludzi rozsądniejszych. I tak w piśmie **„Ghrist. Welt“** odzywa się jakiś wyższy urzędnik niemiecki:

„W państwie istnieje potęga, której nie dorówna najpotężniejsze państwo, jedyna siła, która w całej pełni tego wyrazu jest z Bożej łaski, ponieważ w niej się łączy przyroda z tradycyą. Tą potęgą jest *rodzina*. Także Kościół nie może się opierać na innej podstawie. Nauczyciel i kapłan są bezsilni, gdy przeciw nim stoi ojciec i matka. Dlatego wszelką walkę przeciwko językowi potępia.

„Jeżeli „Christliche Welt“ chce dochować wierności swemu imieniu i swemu duchowi, natenczas musi w tej dziedzinie służyć nie fałszywie prowadzonemu nacyonalizmowi, lecz chrześciańskiemu humanizmowi.“ — Autor wyraża przekonanie, że rezultaty wykształcenia dzieci w szkole ludowej bez języka ojczystego nie mogą cieszyć żadnego pedagoga, a tych negatywnych rezultatów, zwłaszcza, gdy chodzi o wychowanie religijne, nie może pochwalić żaden chrześcianin. Pozorne sukcesy mogą cieszyć serce inspektora szkólnego, ale nie omylą one nigdy przyjaciela ludu.

„Dalej oświadcza, że nie zna Polaków, ale jeżeli to prawda, jak to przedstawiają z niemieckiej strony, jakoby dzieci polskie były małpkami, z których dopiero niemiecka szkoła ma zrobić ludzi, to tem więcej należałoby przemawiać do nich w ich języku ojczystym.“

Jeszcze ostrzej potępia zwłaszcza niemiecką naukę religii pewien **pastor** z „Kurlandyi.“ Pisze on oto co następuje:

„Choć rząd rosyjski od lat przeszło dziesięciu podkopuje w Kurlandyi żywioł niemiecki i jego narodowość bezwzględnie, to jednak w nadbałtyckich prowincyach w wszystkich szkołach, zatem nie tylko ludowych, ale i w gimnazyach *religii uczą w ojczystym języku*. Uczą

zatem Niemców po niemiecku, Łotyszów po łotycku, Estończyków po estońsku.

„Choćby się walka rasowa toczyła na noże, to jednak powinna przystanąć przed nauką religii. Dopóki dzieciom polskim śpiewają nad kołyskami po polsku, dopóty będę uważał za rzecz okrutną, żeby w gwałtowny sposób uczyć je religii w języku, który dla nich jest obcy.“

I „sławetnego“ posła *Sattlera* spotyka konfuzya za konfuzyą. Jeszcze nie uporał się ze sprostowaniem p. Jaworskiego, a oto nowe udowodniono mu *kłamstwo*. Pan *Sattler* powiedział w mowie swej, że *niemiecka* poczta nie uczyniła nic innego, tylko postąpiła tak samo, jak *angielska* np., która żąda od *Irlandczyków*, aby zaopatrywali listy swoje w angielskie adresy.

Na to odpowiada w „Kuryerze Warsz.“ znany publicysta pan Naganowski z Londynu:

„P. Sattler myli się. Poczta angielska conajmniej takiego żądania nie stawia i stawiać nie myśli. Każdemu Irlandczykowi przysługuje prawo adresowania listów po gaelicku. Jeżeli bardzo drobna liczba Irlandczyków z tego prawa korzysta, dzieje się to dla tego, ponieważ bardzo drobna liczba ich zna zatracony swój język ojczysty. Czy wiadomo p. Sattlerowi, że rząd angielski popiera moralnie i materyalnie „*Towarzystwo Irlandzkie dla zachowania języka gaelickiego?*“ Walijczycy, którzy zachowali swój język w całej jego świetności — dzięki we wysokiej mierze bezustannym zachętom ze strony angielskiego dworu panującego — adresują swoje korespondencye w starożytnym języku gallo-celtyckim i jeneralna poczta londyńska utrzymuje z tego powodu specyalną liczbę urzędników.

Przeciwko antypolskiej polityce rządu pruskiego występuje też coraz ostrzej *prasa* rosyjska. I tak korespondenta „Petersb. Wiedomosti“ dziwią bardzo w tych głosach półurzędowych uroszczenia pruskie do przemawiania „w imieniu *wszystkich trzech państw*, które dokonały rozbioru Polski i grożenia solidarności polskiej wzmocnionymi środkami zabiegawczymi wobec takiej międzynarodowej agitacyi.“ W oczach korespondenta „S. Pieters. Wiedomosti“ nadawanie ze strony niemieckiej wystąpieniom Polaków w sprawie wrzesińskiej charakteru agitacyi międzynarodowej jest po prostu mierzeniem podwójną miarą.

Wiadomo, że moskiewskie słowiańskie Towarzystwo Dobroczynności przesłało na ręce Koła polskiego w Wiedniu na rzecz dzieci wrzesińskich *200 rubli*..

W sprawie użycia funduszów na rzecz dzieci wrzesińskich powstała już *polemika* — pojawiły się rozmaite projekty. Naszem zdaniem trafnie kwestyą tę rozwiązał pan *Zygmunt hr. Grudziński*, który w jednem z pism tutejszych zamieścił następujące uwagi:

„Pozwalam sobie, jako jeden z najstarszych obywateli naszego Księstwa, przesłać me zapatrywanie w tej sprawie. Nasamprzód wypada sobie postawić jasno pytanie: czyje mamy pieniądze w asserwacyi, a które cała Polska złożyła?

Pieniądze, o ile się czyta w rubrykach, są przeznaczone dla dzieci wrzesińskich i ofiar procesu. A więc są *ich nienaruszalną własnością*. — Zdaje się więc słusznem, majątek ten rozdzielić równo między nich. — Ponieważ jednak dzieci nie mogą jeszcze rozporządzać takowym, trzeba więc procenta od tych kapitałów na ich wychowanie wypłacać rodzicom, opłaciwszy koszta procesu i zapewniwszy los skazanych; a cały kapitał, po tych opłatach, wręczyć każdemu z dzieci, gdy dojdzie do pełnoletności. — Wtedy będzie miał jeden na założenie kramu, drugi na warsztat, trzeci na kupno lub dzierżawę gospodarstwa itd. — (dziewczynki, gdy pójdą za mąż). O wychowaniu dzieci w tym, lub owym zawodzie, według naszych życzeń, nie może być dziś mowy; (choć bym sam pragnął, aby obrały zawód praktyczny); aleć każdy powinien dążyć do tego, do czego czuje ochotę i powołanie. — Kraj miał na celu wynagrodzić dzieci, dając im pewien majątek. Rzeczą szanownego komitetu jest tylko: te fundusze równo rozdzielić. Komitet, mem zdaniem, jest tylko depozytaryuszem tego majątku, a nie właścicielem, który może nim rozporządzać według upodobania.

„I niema tu także mowy o tem, kto ma być uważanym, za bohatera! Muszę tylko nadmienić, mieszkając w sąsiedztwie Wrześni, że cierpienia tak dzieci, jak i rodziców, bynajmniej nie ustały.

„Dzieci cierpią bardzo, bo muszą codziennie 2 godziny dłużej, o głodzie i chłodzie przesiedzieć w klasie, a prócz tego grożą im zatrzymaniem ich w szkole, ad infinitum. Czy to nie jest bohaterstwem z ich strony, wytrwać mimo to, w swoich przekonaniach?! i czy nie należy im się za to uznanie? A również i rodzice są na różne dotkliwe prześladowania wystawieni. — Byłoby dobrze, jak sądzę, jaknaprędzej zapewnić interesowane rodziny, że pieniądze na ich dzieci zebrane, będą im rzetelnie na równe części podzielone i oddane; bo już dziś powstają między niemi podejrzenia, że na inne cele krajowe zostaną użyte, co ich boleśnie dotyka.

„Kończę moich kilka uwag w tej sprawie, kładąc jeszcze nacisk na to, że nie naszą rzeczą jest: kłopotać się, jak ci ludzie rozporządzić zechcą temi pieniędzmi, któremi ich kraj obdarzył.“

B. M.

Listy od przyjaciół.

Ryczywół, w styczniu 1902.

Kochana „Praco!“

Nasamprzód życzę naszej kochanej „Pracy“ w tym rozpoczętym Nowym Roku jak najlepszego powodzenia, by jak najwięcej była przez nas Polaków popierana i czytana, bo każdy Polak, który czytuje „Pracę“ jest, że tak powiem, dzielną zaporą napływającego z całą siłą do nas germanizmu.

Lęcz zamało czytujemy dobre pisma, zamało czujemy z niemi. Żyjemy w czasie, gdzie świętym obowiązkiem jest każdego prawego Polaka bronić naszego skarbu narodowego, to jest mowy naszej ojczystej. Niestety mamy między nami braci takich, którzy za marną próżność, lub by się przypodobać tym, co nas gnębią, wstydzą się jej tam, gdzie jej używać wolno. Za dowód niechaj posłuży zdarzenie, zaszłe w ostatnim czasie:

W pobliskiej wsi Skrzetuszu, a wieś to czysto polska, bo na trzydziestu gospodarzy Polaków, tylko trzech Niemców przypada, odbył się wybór sołtysa. Wybranym i potwierdzonym został ku ogólnej radości wszystkich, Polak, pan J. Szudarek. Cieszyła się cała gmina, iż znów tak jak dawniej w ojczystym języku będzie mogła załatwiać sprawy, lecz jak się zawiedli grubo na rodaku?

Otóż na pierwszej gromadzie czyli terminie, pan sołtys odzywa się do ławników w języku niemieckim bardzo licho dla nich zrozumiałym, bo są między nimi tacy, co go i źdźbła nie rozumieją; ławnicy i odpowiadają po polsku. Wtenczas powstaje pan sołtys i w te do zgromadzonych odzywa się słowa: „Hier wird deutsch gesprochen, bei mir im Amtszimmer, nur deutsch, ich habe darauf Eid geleistet, vielmehr geschworen.“ Mój Boże, — jakież było zdziwienie zgromadzonych, jaki ból owładnął ich serca, — upierali się biedacy, żądając, by po polsku do nich mówił, lecz nic wskórać nie mogli; rozeszli się smutni do domów.

Czy to jest godziwe, zgadza się to z imieniem Polaka? — i to jeszcze członka dozoru kościelnego, księdzu proboszczowi asystuje w uroczystych procesyach, nawet brata ma księdzem — od takiej osoby pewnie najmniej się tego spodziewać należało, lecz tak jest rzeczywiście. — Krew ścina się w człowieku słysząc coś podobnego, czyż taki postępek nie zasługuje na ogólną naganę? Z pewnością. Może te uwagi naprowadzą naszego rodaka na dobrą drogę, jaką jako Polak kroczyć powinien.

Wierny czytelnik „Pracy.“

* * *

Wielichowo, dnia 16-go stycznia 1902.

Tutejszemu Towarzystwu rzemieślników katolickich zakazała policya przedstawienia „Karpackich Górali“ z powodu, że ton w tej sztuce jest „wrogi niemczyźnie,“ i że autor z pogardą mówi o niemieckich żołnierzach.

Powody te zadziwiają nas, bo dotychczas policya w sztuce tej niewidziała nic niebezpiecznego dla niemieckości. Grano ją w różnych miejscowościach, nawet w sam Nowy Rok w jednem z mniejszych miasteczek Księstwa. W Poznaniu niezliczone razy ją grano. Zresztą Towarzystwo w manuskrypcie przesłanym policyi wypuściło i zmieniło wszystko, co się do Niemców odnosiło. Zdaje się, że manuskrypt przez nas przesłany i poprawiony albo wcale nie, albo nie zupełnie był czytany.

Zadziwia nas także i to, że policya nieodważyła się sama dać pozwolenia, choć mogła, i sprawę całą rejencyi wraz z manuskryptem przesłała. Zakaz ten naraził Towarzystwo na znaczne straty, bo przyszedł 10-go a więc 2 dni przed przedstawieniem, które miało się odbyć 12-go b. m. Przygotowania trzeba więc było na chybił trafił robić. Nadmieniam, że prośba z manuskryptem wysłaną została już 6-go grudnia. Wszelkie starania na landraturze i w rejencyi pozostały bez skutku. Pan landrat powiatu

śmigielskiego zastawił się tem, że sprawę już rejencyi odesłał, że więc sam rozstrzygać jej niemoże. Był tyle grzecznym, że na naszą prośbę zatelegrafował w imieniu Towarzystwa do rejencyi, skąd 6 go stycznia nadeszła odpowiedź telegraficzna: „Inhalt des Stückes noch nicht geprüft. Regierungs Praesident.“ Gdy do czwartku niebyło odpowiedzi, zwróciliśmy się ponownie z telegraficznem zapytaniem do prezesa rejencyjnego. Ztąd przyszła w piątek odpowiedź razem z odpowiedzią policyi „Auffürung unzulässig. Regierungs Praesident.“

Rozgoryczenie z powodu zakazu wielkie, lecz oddać trzeba pochwałę mieszczaństu tutejszemu, że zawód ten zniosło z godnością. Odwdzięczą się za to na ekonomicznem polu. Zysk moralny także wielki. Do niedawna poczucie narodowościowe w wielu jeszcze było uśpione. Od czasu zakazów i różnych trudności, które nam nasi najserdeczniejsi już od dwóch lat stawiają, poczyna się duch budzić. Największą uciechę z zakazu mają hakatyści. Sądząc jednakowoż podług tego, co w mieście mówią, zakaz ten najwięcej na ich skórze się odbije, bo mieszczaństwo więcej, jak dotychczas, będzie swoich popierało.

Swój.

SWATY.

Snuj się, marzeń pajęczyno!
Cyt! — już warczą złote motki...

Oto lecą, oto płyną
Do mej lubej, do pieszczotki,
Ponad szczyty, ponad głębie,
W oświadczyny, dwa gołębie.

Nieścignione w chyżym biegu,
Porą wichry, krają fale,
I rycersko i zuchwale,
W złocie słońca, w srebrze śniegu,
Błyskawicom patrząc w oczy,
Drwiąc z lawiny, choć się toczy,
Szydząc z gromów, choć się świecą,
Posły serca, myśli ptaki,
Ach, odważne! ach, junaki!
Płyną, płyną... lecą, lecą...

Z chmur girlandy błysnął ranek,
Mgły różowej wstały zwoje;
Na rzeźbiony wyszła ganek
Moja luba, słońce moje;
Czesze włosy, wije wianek,
Wije maki i powoje;
Wiatr pomiata czarną kosą,
A piosenkę echa niosą...

Dzwoni strumień, pachną kwiaty;
— Kto też dzisiaj przyśle swaty?...
Gór nie widać za mgłą siną;
— Czy ubogi? czy bogaty?

Snuj się, marzeń pajęczyno!
Chyżej, chyżej! białe swaty!

— Od lirnika... czy być może?
Od lirnika... ach, mój Boże!...
Przystanęła; patrzy, słucha —
Biały ptaszek rzecz swą grucha,
Grucha słodko i miłośnie,
Aż w dziewczynie serce rośnie...

— Leć, mój ptaku, biały drużbo,
Do lirnika z dobrą wróżbą...
Leć, mój ptaku, leć, mój swacie!...
— Śliczna pani! a czy znacie
Dwór lirnika, jego skarby?

— Nie znam, ptaszku...

— Jakie farby
Bierze zachód, kiedy kona,
Jak się pali gwiazd korona,
A o zmroku gasną zorze;
Jak się pianą srebrzy morze,
W stawie pływa księżyc blady,
Po przepaściach grzmią kaskady,
A z gór strzela złota ruda;
Jak przy gromów krwawym błysku...

— Ptaku, dość już! — gdzież te cuda?

— W orlem gnieździe, na urwisku...

— Na urwisku?

— Ludzkie oko
Tam nie sięga!
— Tak wysoko?...

— Z krzykiem orłów krążą roje...

— Ptaku! ptaku! ja się boję...

. . . .

Od mej lubej, od pieszczotki,
Dwa gołębie lecą, płyną...

Opadnijcie, złote motki,
Rwij się, marzeń pajęczyno!

Wiktor Gomulicki.

Z krańców bieguna północnego.

(Do illustracyi albumowej).

Po wszystkie czasy i wieki, znane dziejom świata, byli mężowie odważnego i śmiałego umysłu, co pędzeni żądzą wiedzy i wrażeń, podejmowali dalekie i pełne niebezpieczeństw podróże, zapuszczając się w najniedostępniejsze okolice kuli ziemskiej. Tym to podróżnikom wiele, bardzo wiele zawdzięcza cywilizacya; oni to zdobyli wielkie plony dla nauki geograficznej, popchnęli na nowe tory handel, a wynalazłszy nowe drogi zbytu dla produktów rólnictwa i przemysłu, podnieśli dobrobyt nietylko własnej ojczyzny, ale przyczynili się także do zbogacenia się obcych państw i narodów.

Dość wspomnieć nazwisko Genueńczyka Krzysztofa Kolumba, który odkrył nieznaną Europie Amerykę, dość przywieść sobie na pamięć Potugalczyka Vasco da Gama, z nowszych czasów Anglika Livingstona, który przebył w szerz całą Afrykę środkową, ażeby powziąść wyobrażenie o zasługach położonych przez nich około ludzkości. To też nie dziw, że historya zapisała na swych kartach ich imiona a oni i obcy uwiecznili ich pamięć w pomnikach i posągach.

Jak inne części świata, tak i biegun północny i jego ostateczne krańce nęciły i pociągały ku sobie tych chciwych wiedzy podróżników, pomiędzy którymi widzimy książąt krwi królewskiej i głowy ukoronowane. Nie mamy tu zamiaru kreślić historyi wszystkich wypraw do bieguna północnego, wskażemy tylko na Anglika Johna Franklina, który padł ofiarą wraz z wszystkimi towarzyszami w tych ściętych wiecznym lodem okolicach, w których mróz tamuje oddech ludzki, a śniegiem pokryte płaszczyzny tamują i niszczą wszelką wegetacyą. Franklin popłynął 19 maja 1845 dwoma okrętami ku biegunowi północnemu i odtąd nie doszła żadna wieść do ojczystego kraju o śmiałym żeglarzu. Rząd angielski wyznaczył 20 tysięcy funtów szterlingów na jego odszukanie, żona dodała jeszcze do tej sumy 3 tysiące funtów. W r. 1850 popłynęła wyprawa, składająca się z 14 okrętów; zaginionego nie znaleziono. Próżnemi okazały się także poszukiwania, podjęte w roku 1857. Dowiedziano się tylko, że Franklin odpłynął od brzegów wyspy Piechey, zmierzając do kraju króla Wilhelma, i że ze wszystkich stron otoczony i ściśnięty lodami, wśród cierpień głodowych życia dokonał.

I w Niemczech za inicyatywą sławnego geografa Augusta Petermanna wyruszyła w r. 1868 wyprawa celem zbadania krańców bieguna północnego. Wyprawa nie powiodła się, okręty otoczyły lody, a załoga ich, spędziwszy 200 dni na coraz wyżej piętrzących się głazach lodowcowy, zdołała zaledwie ujść z życiem i szukać ocalenia na ziemiach kolonii grenlandzkich.

O życiu i niedoli mieszkańców bieguna północnego daje nam niejakieś wyobrażenie nasza illustracya. Widok ludzi, żyjących wśród tych lodów i śniegów, grozą przejmuje. Czem jest wielbłąd dla mieszkańców gorących piasków afrykańskich, tem jest ren dla ludzi zamieszkujących krańce bieguna północnego. Reny są im towarzyszami w podróży, ciągną one wózki z żywnością, a zabite dają smaczne mięso i skóry, które stanowią ciepłą odzież i posłanie dla biegunowców. Wierny zawsze towarzysz człowieka, pies, wielkie im oddaje usługi. Te reny i psy widzimy też na naszej illustracyi jako pomocnych towarzyszów trzech ludzi. — Jeden z nich wskazuje ręką na nadlatujące dzikie ptactwo, lub na pędzące po zmarzłym śniegu zwierzęta, a drugi kierując wzrok ku tej stronie, trzyma w ręku broń nabitą. Trzeci stoi przy saniach, przez psy ciągnionych, wszyscy trzej przybrani w futra renów, przywiązani do długich drze-

wiec jakoby do łyżew, choć skostnieli od mrozu, a jednak zwracają bystre oczy w dal, gdzie się zdobyczy spodziewają. Ponure niebo nad ich głowami, przestwór na okół zachmurzony jeszcze więcej zaciemniają płatki zmarzłego śniegu, okrywają odzież człowieczą i ziemię dość już tym żywiołem nasyconą. Cały ten obraz monotonny a surowy budzi smętne i ponure myśli w widzu, który urodzony w uroczych okolicach, zwykł patrzeć na słońce, bujną roślinność ciepłych i umiarkowanych stref kuli ziemskiej. — *er.*

Hotel „Bristol“.

W końcu listopada r. z. jasna pochodnia cywilizacyi i kultury, mająca na imię: postęp, rzuciła na Warszawę nowy, wspaniały snop światła, w którego ożywczych promieniach ujrzeliśmy wielkie dzieło budownictwa i przemyślności ludzkiej, gmach, nie gmach, istny pałac zaczarowany, a praktycznie i prozaicznie na hotel tylko przeznaczony.

W samem sercu Warszawy i głównej jej arteryi życiowej, Krakowskiego Przedmieścia, na terytoryum dawnego pałacu Tarnowskich, pomiędzy pałacem Namiestnikowskim a rozszerzoną i uregulowaną ul. Karową, wzniósł swe pyszne mury podtrzymane kolumnadą smukłych filarów frontonu, a zakończone narożną okrągłą basztą platformą, zkąd całą Warszawę i jej okolice, jak okiem sięgnąć, widać, jak na dłoni — nowożytny dom zajezdny i gościnny, hotel „Bristol.“

We dnie każdego przejezdnego i przechodnia musi on uderzyć swą pełną smaku i harmonii architekturą, z ozdobami zewnętrznemi złotawych okratowań balkonów i spokojem a wytworną prostotą swych linii, nadających pałacowi temu wykwintność szat bogacza, przywykłego do miary estetycznej pozorów.



Hotel Brystol w Warszawie.

W nocy olśni mlecznemi girlandami lamp elektrycznych, zwieszających się przed olbrzymiemi lustrzanemi oknami sklepów; oczaruje złotem światłem, rozkwitającemi kielichami kwiatów w balustradach; zaciekawi ukrytą dyskretnie poza przysłoniętemi żaluzyami okien tajemnicą życia wewnętrznych apartamentów hotelowych; pociągnie wreszcie ruchem, kipiącym pośród dwu majestatycznych granitowych kolumn wejścia głównego z obracającym się w nim bez wypoczynku turnikietem.

Gmach jest dziełem budowniczego p. Władysława Marconiego, a to wystarcza, ażeby powiedzieć, że z estetyką łączy trwałość i praktyczność, z wyglądem imponującym dbałość o istotną wartość szczegółów architektonicznych, o rozumne i celowe rozplanowanie ubikacyi.

P. Marconi bowiem nie poprzestawał na własnem gruntownem wykształceniu w tym kierunku i bogatem doswiadczeniu, ale ilekroć miał jakie wątpliwości, udawał się o ich wyjaśnienie do pierwszorzędnych powag zagranicznych na polu budownictwa hotelowego.

Gmach „Bristolu“ jest wielkim pięciopiętrowym czworobokiem o ośmiu kondygnacyach, biegnących naokoło podwórza wewnętrznego, zamienionego na śliczny wirydarz, zielony latem i zimą.

Kondygnacye te stanowią: sut reny, w których umieszczono: kuchnie, śpiżarnie, piwnice, lodownię, jadalnię dla służby, kotłownię do centralnego ogrzewania, magazyny i składy, wreszcie kąpiele i wygódki dla służby; parter, mieszczący od strony Krakowskiego Przedmieśeia 6 wielkich sklepów i dwa od ulicy Karowej, a nadto kawiarnię „Bristol“, westibul i hallę, salony restauracyjne z tarasem, czytelnię, szatnię, garderobę i biura hotelu; antresole, służące na użytek sklepów, kawiarni i restauracyi w postaci szeregu gabinetów; dalej cztery piętra właściwych apartamentów hotelowych po 50 numerów na każdem piętrze, wreszcie piętro piąte, stanowiące kondygnacyę ósmą, na którem urządzono mieszkanie dyrektora,



Grek.



Greczynka.



Taormina w Sycylii.



Zamek normandzki pod Taorminą w Sycylii.

sypialnie personelu hotelowego, pralnią, infirmeryę z kamerą desynfekcyjną, altanę z kilku poczekalniami zakładu fotograficznego panny Jadwigi Golczówny, nakoniec jeszcze 10 najtańszych pokojów gościnnych.

Gmach hotelowy nazwać możemy zupełnie ogniotrwałym. Do budowy posłużyły tylko cegła i żelazo. Sklepienia są cementowe na siatkach drucianych systemu Matraya a i podłogi w całym domu ksylolitowe, zatem dające rękojmię bezpieczeństwa od ognia, którą posiadają też wszelkie ścianki i przepierzenia. Nawet drzwi i okna, jedyne z drzewa wykonane, dzięki zastosowanemu do ich urządzenia nowemu systemowi użycia najmniejszej ilości drzewa, żadnego niebezpieczeństwa pod względem ogniowym nie przedstawiają. *W. K.*

(Do illustracyi)

Taormina,

starożytne miasto w powiecie Castroreale, w włoskiej prowincyi Mesinie, w Sycylii położone, zawdzięcza swą nazwę górze Tauros (teraz Monte Toro), u które podnóża się rozsiadło.

Na pierwszej illustracyi naszej zobrazowane są z blizka ruiny starożytnego zamku normandzkiego, znajdującego się pod Taorminą.

Druga illustracya przedstawia nam w oddaleniu widok takiegoż zamku, wzniesionego na bardzo wysokiej górze, u stóp której Taormina się rozsiadła.

Po lewej stronie widzimy morze jońskie, a dalej groźną piramidę Etny i wybuchające z niej kłęby złowrogiego dymu. *—ski.*

Grek i Greczynka z Patras.

(Do illustracyi.)

Ryciny nasze wyobrażają bardzo udatne podobizny Greka i Greczynki, mieszkańców starożytnego miasta Patras, położonego nad wschodniem wybrzeżem Peloponezu. Patras, trzecie z rzędu największe miasto w Grecyi, jest siedliskiem arcybiskupa, sądu apelacyjnego, konsulatów niemieckiego i austro-węgierskiego. Miasto to liczy 45,000 mieszkańców, posiada piękne gmachy publiczne oraz ruiny, pochodzące ze starożytnych czasów greckich i rzymskich.

—ski.

Ora et labora.

(Módl się i pracuj.)

Innym czas bieży, a z czasów kolei
Wykwita pokój i szczęście w nadziei;
Nam chwila rokiem — nas groby, całuny,
Smutne przyszłości witają zwiastuny.

Inni dziś mierzą przebieżoną metę
Do nowych trudów znajdują podnietę;
Nam oczy, serca, jak harpije głodu,
Ssą z krwi nie oschłe pamiątki zawodu.

Ustać, jak słońcu, niepodobna w biegu
Trudno przez fale dobić się do brzegu!
Co zdarzy chwila, to chwila zabierze,
Nie wchodzi prawda z obłudą w przymierze.

Nieunikniona walka światła z nocą —
Niezażegnany bój z hakaty mocą.
Synom światłości oczyścić się trzeba;
Nic nieczystego nie wejdzie do nieba.

Pojony żółcią, piołunem karmiony,
Świadectwo prawdzie lud daje zelżony!
Znak to, że w pełnym ludzkości pochodzie
Twórca go dziejów postawi na przodzie.

Niezbadanemi Pan wiedzie go tory,
I czyści z winy, i uczy pokory,
Prości mu kroki, a gdy z drogi zbacza,
Karze, pokuty dalszy kres naznacza.

Bo tylko czysty wybrany być może,
By głosił prawdę i królestwo boże;
Przejść musi czyściec, odebrać chrzest krwawy —
Hetman po Bogu, rzecznik bożej sprawy.

Idźmyż miłością i wiarą pancerni,
Choć się przed nami i za nami czerni;
Idźmy przez ciernie, pod krzyżem bez trwogi: —
Z drogi niewierni! samoluby z drogi!

Aby nie upaść, aby się nie spodlić,
Trzeba pracować i w Panu się modlić,
W modlitwie korzyć, w pracy stalić ducha:
Nie złamie mężnych losów zawierucha.

Przeciw robotom nieprzyjaciół krzywym,
Przeciw pokusom i radom fałszywym
Modlitwa z pracą bezpieczna zapora: —
Módl się i pracuj, *ora et labora.*

Dla zwyciężonych, po przegranej bitwie
W pracy ucieczka a mądrość w modlitwie;
Z pracującymi wróg się nie upora: —
Módl się i pracuj, *ora et labora.*

Po tylu klęskach, które na kraj spadły
Gdy ziemię świeże żałoby obsiadły,
I smutek cięży na sercu jak zmora: —
Módl się i pracuj, *ora et labora.*

Czyj duch rozmawia z Bogiem i z anioły,
Wiara mu krwawe osłodzi mozoły,
A serce w żalu rozbroi pokora:
Módl się i pracuj, *ora et labora.*

Szukaj, jak lud on w źródle żywej wody,
W modlitwie, w pracy — zdrowia i ochłody,
Szukaj pokoju, póki jeszcze pora:
Módl się i pracuj, *ora et labora.*

Módl się, o! módl się w świata zawierusze,
Nie z rogów ulic, jak faryzeusze,
Lecz w duchu, w prawdzie wielbij Polsko Pana!
Ogniem anielskiej miłości rozgrzana.

I pracuj w Panu, nie jak najemnica,
Lecz jak w winnicy Pańskiej robotnica,
Pokorna w dobrej, wierna w złej godzinie,
Na wieki wieków i zawsze i ninie.

Gdy ziemie twoje zmienione w cmentarze,
Z krzyżem na piersi, z krzyżem na sztandarze,
Módl się i pracuj; a nie doznasz braku:
Znak to zbawienia, zwyciężysz w tym znaku.

Pracuj niepomna tego, co cię boli,
Módl się za ludzi dobrej i złej woli,
I nieprzyjaciół obejmij w ramiona,
Boś ty miłością Polsko! przepełniona.

Świętą twa ziemia wonią ogarnięta,
W każdej tkwi grudce relikwija święta,
Krew, co płynęła za wolność i wiarę,
Krew synów dajesz Panu na ofiarę!

Krew cię namaści na arcykapłaństwo,
Miłość wyniesie na boże hetmaństwo,
Promienna wiarą, co cię opuklerza,
Otworzysz dzieje nowego przymierza.

Bądźże cierpliwa na Pańskie zrządzenie,
By się spełniło twoje przeznaczenie;
W ciężkim ucisku, niezłamana losem,
Wołaj skruszonej pokutnicy głosem:

„Karz Panie! sługę, lecz zbliżaj do celu,
Gotuj zwycięztwo na nieprzyjacielu;
A cicha w pracy, w modlitwie bez pychy,
Zniesie bez skargi, co zsyłasz za grzechy.“

„Karz, jeźli zwątpi w twoje zmiłowanie,
A podnoś w piersi wiarę w zmartwychwstanie;
Zbrojna tą tarczą, niech wytrwa do końca.
Aż nowe zorze, nowe wstaną słońca.“

„Aż się przybliży i królestwo twoje,
Zniknie nienawiść i ustaną boje,
Zniżą się pyszni, a podniosą prości,
I prawem będzie twój zakon miłości.“

„Aż Cherubiny Twego majestatu
Ogłoszą prawdy panowanie światu,
I pójdzie żywot ludów po zakonie,
I pokutnica zasiędzie w koronie.“

J. Zborowski.

Ostatni oficerowie polscy z r. 1831.

Jeden z łaskawych naszych abonentów pisze nam:

I u nas w Księstwie mamy jeszcze dwóch walecznych weteranów z walki o niepodległość, mianowicie: pana Leopolda Paliszewskiego, mieszkającego dotąd w dobrach syna Władysława Paliszewskiego w Gębicach pod Czarnkowem. Szanowny weteran stosunkowo bardzo

jeszcze silny przy 90-ciu latach, bierze czynny udział w życiu narodowem i bardzo się wszystkiem interesuje, co sprawy naszej dotyczy. Pan Leopold Paliszewski był od pierwszej chwili powstania nadzwyczaj czynnym, najpierw w gwardyi akademickiej, następnie powołany na podporucznika do pułku liniowego odbył całą litewską kompanią pod generałem Dembińskim, jako porucznik ranny został pod Miszkuciami, dnia 10 lipca. Odtąd w powozie generała Dembińskiego jechał za armią, by ujść niewoli moskiewskiej. Rana pomimo tego goiła się dość szybko, gdyż mógł na czele kompanii wziąść udział w tryumfalnym marszu przy wejściu do Warszawy. Następnie odkomenderowany do Modlina, do ostatniej chwili powstania był w mundurze, dopóki go nie odstawiono do pruskiej granicy.

Żałuję bardzo, że nie mogę szan. Redakcyi przesłać fotografii czcigodnego weterana, gdyż nigdy fotografować się nie chciał. Życzliwi sąsiedzi, tak jak corocznie, i w tym roku uczcili starca w dniu 29 listopada, i wszyscy się zjechali do Gębic, by w gronie rodziny i życzliwych spędzić ten wieczór w towarzystwie kochanego weterana.

Drugim dodam żyjącym jeszcze oficerem z 32-go roku jest p. Porzeski z Jabłkowa, podobno także jeszcze czerstwy na swój wiek. Bliższe szczegóły o szanownym weteranie nie są mi znane. Miło by nam wszystkim było, gdyby szan. Redakcya zechciała światu przypomnieć, że żyją jeszcze ci dwaj oficerowie z walki o niepodległość.

M. W.

Do ostatnich czwartaków walecznego pułku, co wsławił się wzięciem Warszawy i Ostrołęką, należy także dzisiaj żyjący w Drohowyżu Feliks Migisia Stankiewicz, urodzony na Litwie, dziś staruszek 91-letni, który jednak zachował pamięć i zapał dla świętej sprawy naszej i wielką miłość dla ojczyzny, którą przelewał w dzieci i wnuki. Tak on jak i ojciec jego poświęcił majątek sprawie narodowej, a po upadku powstania przenieśli się do Galicyi — opuszczając Litwę na zawsze. (Przyp. Red.)

Dunajec.

Stałem nad brzegiem Dunajca,
Co, jak wąż, w tysiąc pierścieni
Wśród urwisk białych, — gór sinych,
Wije się, burzy i mieni.

Dunajec wściekły, kapryśny,
Skały w ramiona swe chwyta,
Wyrywa dęby i sosny,
Zuchwały — o nic nie pyta!

A gdy mu skała na drodze
Stanie, — on depcze po skale,
Mruknie, zaszumi — i dalej
Toczy wzburzone swe fale.

I jak po walce zwycięzca
Z cudzych łez tryumf sposobi,
Tak on — w pióropusz swój biały
Z pian — sine czoło swe zdobi...

Patrzałem w Dunajca wody,
W te piany — w wzburzone fale,
Pytając: dokąd tak gonią
Zdyszane w pędzie i w szale?...

* * *

Dzisiaj na miejskim znów bruku,
Skoro się tylko dzień budzi,
Widzę, jak roi się, kłębi,
Śpieszy ogromny tłum ludzi.

Każda twarz znaczna wyrazem
Nadziei, walki, czy trwogi,
A każdy śpieszy do celu,
Bliźniego spychając z drogi.

I w oczach stają mi znowu
Dunajca spienione wody,
I skały, i w wielkich wirach,
Wyrwane drzewa i kłody.

I znowu pytam sam siebie:
Dokąd tak śpieszy tłum ludzi?
Co ich tak nęci i woła?
Co ich przyzywa i łudzi?...

Każdy ma własny interes,
Konieczny, ważny i pilny,
Bo tłum wciąż płynie i śpieszy,
I depcze słabego silny.

A z tego tłumów pośpiechu,
Po wszystkich ludzi przygodach
Zostanie piana — i piana!
Jak na Dunajca gdzieś wodach.

Na chwilę człowiek wybrany
Do celu może zawinie,
A potem — tłumy i wody —
Wszystko przepadnie... przepłynie...

Więc na co ludzkie wysiłki,
Na co ten pośpiech i trudy?...
W niepamięć — jak krople w morzu
Pójdą i fale — i ludy!

Ida Pilecka.

TEATR.

(*Bartel Turaser* — dramat w 3 aktach przez Filipa Langmanna. — *Dwór we Władkowicach* — komedya w 4 aktach przez Zygmunta Przybylskiego.)

Na szarem tle robotniczej doli namalował autor ponury i wstrząsający nerwami widza obraz. Langmann nie jest całkiem oryginalnym, zapożyczył się on dużo u Hauptmanna — lecz umie obserwować dobrze i obserwacye ubrać w formę dramatyczną.

W jednej z fabryk austryackich wybuchł strejk, ponieważ robotnicy oburzeni są na Kleppla, majstra farbiarskiego, który jednę z robotnic, Annę Zelterzankę, prześladuje miłosnemi nagabywaniami, a gdy nie znajduje u niej posłuchu ją wydala. Ma się odbyć rozprawa sądowa przeciw Klepplowi. Kleppla oskarza Marya Zeltner, a najważniejszym świadkiem jest Bartel Turaser. Od jego zeznania zależy i los Kleppla i los wszystkich robotników. Bartel Turaser jest na wskroś uczciwym i zezna tak, jak słyszał, — to znaczy, że obciąży Kleppla — lecz do domu zajrzała bieda — dzieci chore. Brak posilnego pożywienia sprawia, że życie ulubieńca Turasera, małego Bartka, zagrożone. Rozchodzi się wieść, że Kleppel da znaczną kwotę pieniędzy za korzystne dla niego zeznanie. — Wtedy to żona Turasera zaczyna osłabiać skrupuły męża — wystawia mu nędzę, która ich czeka — wskazuje na chore dzieci. Zaczyna się straszna walka sumienia z szarą nędzą i okropną rzeczywistością. W tej chwili zjawia się Kleppel — kusi Turasera widokiem stuguldenowych papierków. Turaser szamoce się z sobą — łamie się — odgania od siebie kusiciela — lecz łzy żony, widok chorych dzieci czynią go uległym. Turaser bierze grosz judaszowy i zezna tak, że Kleppel wyjdzie czysty z rozprawy, a oskarzająca będzie pogrążoną.

Wszystko to rozgrywa się w pierwszym akcie, niewątpliwie najsilniejszym.

W drugim akcie przedstawia nam autor robotników rozdzielających między siebie resztki strejkowych funduszów. Jest w tym obrazie dużo subtelnych rysów, charakteryzujących egoizm tłumu. Tłum jest jeszcze pełen otuchy, wierzy w Turasera. Otucha ta jednak słabnie, gdy buchalter fabryki przynosi im wypowiedzenie roboty w fabryce. Nagle wpada Anna Zelterzanka i donosi, że Turaser zdradził, że zeznał na korzyść Kleppla. Ogromne wzburzenie — następuje z ogromnym realizmem naszkicowana scena pomiędzy Anną, a żoną Turasera. Nie tylko sprawa sama je przeciw sobie podburza, lecz od dawna tłumiona zawiść. Anna chciała przecież także mieć dla siebie Turasera za męża. Gdy tłum odchodzi wbiega Turaser — tłum oblega dom jego i pragnie się pomścić — lecz drzwi wytrzymują wściekły szturm.

Następuje chwila pozornego szczęścia. Dobrobyt zawitał do domu. Turaserowa ma przynieść do domu żywności i łakoci dla małego Bartla. Turaser, opanowany humorem straceńca, gorączkowemi pieszczotami obsypuje syna.

Trzeci akt to nemezys. Dzieci umierają skutkiem przejedzenia. Czarna rozpacz pada na duszę Turaserów. Przybywa Anna wypuszczona z więzienia, gdzie ją

osadzono za obrazę Kleppla — przebacza Turaserowi krzywdę, lecz to go nie uspakaja. Zdaje się, że z czarną trumienką, mieszczącą w sobie zwłoki Bartla, a wyniesioną z mieszkania cała siła ustąpiła z duszy Turasera. W gorączkowej halucynacyi widzi syna, — pada na ziemię nieprzytomny, a gdy przytomność wraca, postanawia błąd naprawić bez względu na konsekwencye, jakie na niego spadną. Resztę pieniędzy Kleppla rozdziela pomiędzy żonę i starego robotnika, Adolfa — przyjaciela zaś swego Nasswettera posyła po obrońcę i zeznaje przed nim swą winę. Żona, poczuwająca się do równej Turaserowi winy, chciała by z nim podzielić los, lecz wobec prawa ona jest niewinną i poświęcenie nie ulżyłoby Turaserowi w niczem. Zeznanie Bartla pogrąży Kleppla — tego on też pragnie — a przywróci cześć Annie Zelterzance.

Z krótkiego opisu treści sztuki wynika, że cały dramat spoczął na barkach Turasera i częściowo żony jego. Podjęli się tych ról państwo Stradiotowie i przyznać muszę, że wywiązali się z zadania zadowalająco. Pan Stradiot wżył się głęboko w swą rolę i na ogół zrozumiał psychologią sumienia proletaryusza. Z dużym realizmem umiała oddać swą rolę pani Stradiotowa. W scenie z Anną Zelterzanką (p. Bogusławska) obie partnerki szły o lepsze w przedstawieniu prawdy życiowej. Panowie Czerniak, Berski, Borawski, Dybizbański z mniejszych ról wywiązali się przyzwoicie. Zbiorowe sceny były zręcznie ułożone i wćwiczone. Całość pozostawiała wrażenie pilnej i starannej pracy. Wystawa z wielką skrupulatnością starała się oddać wygląd mieszkania robotniczego.

Świeżo wznowiono z powodzeniem znakomitą komedyą Zygmunta Przybylskiego p. t. „Dwór we Władkowicach", okraszoną, jak wiadomo, humorem swojskim i żywą akcyą. Wszyscy występujący w niej artyści wywiązali się ze swych ról znakomicie. Bardzo dobrze odegrały swe role panie Micińska (Wanda Rudowiecka) oraz Czechowska (Julka Bombecka). Wystawa była staranna. Publiczność przyjęła sztukę bardzo sympatycznie.

W końcu apelujemy do publiczności, aby raczyła, mianowicie teraz podczas krótkiego karnawału, jak najliczniej uczęszczać do teatru. W dnie powszednie są często przerażające pustki w teatrze, podczas gdy „nasi niepoprawni" balują i hołd składają niemieckim artystkom z pod „ciemnej gwiazdy" w „Kaisergartenach." Fakt smutny, ale niestety prawdziwy! *Widz.*

KRONIKA.

Ile razy jestem na sali Lamberta, tyle razy przychodzi mi na myśl, że cały ten kompleks budynków wraz z wielką salą, tak nam bardzo potrzebną, mógł był się stać własnością Towarzystwa „Dom Przemysłowy."

Dzisiaj mamy „Dom Przemysłowy" — wybudowany już i już też można w nim najmować składy i mieszkania, ale sali nie mamy i nie tak prędko się jej doczekamy. Tymczasem musimy mieścić się na sali Lamberta, gdy urządzamy przedstawienia na szeroki ogół obliczone. Przedstawienia obliczone na szeroki ogół cieszą się coraz większem powodzeniem. Koncert „Lutni", który się także odbył na sali Lamberta, zapełnił ją najzupełniej, jeszcze więcej napłynęło publiczności na wieczornicę *Tow. Terminatorów.* Nie tylko galerye i krzesła były zapełnione, lecz nawet przedział dla orkiestry zapełnił się dziwną kapelą.

Miejsce muzyków zajęła spora liczba malceryi poznańskiej, zasłuchanej i zapatrzonej na produkcye swych braci, towarzyszów i znajomych.

Była to prawdziwa kapela — nadająca ton całemu licznemu zebraniu. Ztamtąd zrywały się najpierw burze oklasków, ztamtąd rozlegał się wesoły śmiech, który się przenosił na całą salę, ztamtąd podnosiły się oznaki niezadowolenia, gdy kurtyny zbyt długo nie podnoszono. Dziatwa i chłopcy dorastające miały w tym dniu pierwszy głos, bo przecież na scenie występowali ich towarzysze i bracia *terminatorzy.*

Program przedstawienia był bardzo obfity, ale dzięki energicznej reżyseryi X. Zimmermanna, szło wszystko składnie.

Nie będę się rozpisywać o pojedyńczych produkcyach — powiem tylko, że z przyjemnością słuchałem chórowych śpiewów, z lubością słuchałem deklamacyi z werwą wygłoszonych i patrzałem ze zdumieniem na umiejętność, z jaką młodzi *przyjaciele* — bowiem tak nazywają się członkowie Tow. Terminatorów — odegrali krótkie utwory sceniczne.

Widz patrzący na takie przedstawienie, ani się domyśla, ile trzeba dołożyć starań, ile serdecznego poświęcenia ze strony kierowników, aby przedstawienie takie przygotować. To też wyrażam tu najwyższe uznanie obu kierownikom Towarzystwa, księżom: patronowi Kłosowi i wicepatronowi Zimmermannowi za poniesione trudy.

Gdyby jednak wpływ tych trudów miał się kończyć tylko na świetnym rezultacie przedstawienia, powiedziałbym, że może nie warto dlatego podejmować tyle trudów.

Lecz sprawa po bliższej rozwadze inaczej się przedstawia.

Terminator to przecież przyszły nasz rzemieślnik, podstawa naszego stanu średniego.

Od dobrego i umiejętnego pokierowania sercem i umysłem tej młodzieży zależy jakość naszego stanu średniego. Niema zaś pomiędzy nami nikogo, któryby nie życzył, aby ten stan nasz średni był najdoskonalszym, ponieważ właśnie w niego najsilniej uderza dziś zalewna fala germańska.

Stan średni nie ma za sobą ani protekcyi urzędowej, ani olbrzymich funduszów dyspozycyjnych, ani nie może liczyć na korzystne dostawy rządowe, może on jedynie w swej zawodowej pracy, w swej walce z życiem i niemczyzną liczyć na samego siebie.

A w tem ciągłem borykaniu się z przeciwnościami — tylko umysłowa dojrzałość, tylko uobyczajenie wielkie, tylko doskonalość w cnocie, tylko umiejętność zawodowa i rozgarnięcie mogą mu zapewnić zwycięstwo.

Szkołą dla tych wszystkich cnót jest Tow. Terminatorów.

A jednym z środków do uobyczajenia są między innemi przedstawienia amatorskie terminatorów. Poznań jest dziś już większem miastem i jak każde większe miasto jest w niem pokus dużo dla młodzieży niedojrzałej, rwącej się do życia.

Terminator pozostawiony sam sobie, szczególnie w niedziele i święta, łatwo może dostać się w złe towarzystwo. Chodzi więc o to, aby dorastającego młodzieńca zająć pożytecznie, szczególnie w niedziele i święta.

Przygotowania do takiego przedstawienia zajmą dużo niedziel — młodzież bawi się wybornie, obyczajnie bez żadnego dla siebie zmęczenia. Umysł rozwija się przytem, nabiera zamiłowania dla rozrywek szlachetniejszych — i nie ma czasu myśleć o rozrywkach niestósownych. Przytem obcowanie ciągłe z kierownikami, ludźmi wysokiego wykształcenia, szlachetnego serca i towarzyskich zalet niezmiernie błogi wpływ wywiera na wesołego, do figli skłonnego, buńczucznego terminatora.

Jestem przekonany, że wielu, bardzo wielu terminatorów w późniejszem życiu z wdzięcznością przypomni sobie czasy spędzone w Towarzystwie Terminatorów i wielu z nich powie sobie, że ono właśnie stało się podstawą późniejszego w życiu powodzenia.

Panowie pryncypałowie i majstrowie, którzy bardzo licznie przybyli na wieczornicę, wynieśli z pewnością to samo, co ja, przekonanie, że takie zabawy i zajęcia wpływają na terminatorów zbawiennie, podnoszą ich umysłowo i obyczajowo.

Wiem, że „Praca" w stanie średnim jest pismem najulubieńszem, że w kołach rzemieślników światłych liczy tysiące abonentów, dlatego całą kronikę poświęciłem Tow. Terminatorów, które tak ważnem jest dla przyszłości i rozwoju naszego przemysłu. Niechaj każdy majster i pryncypał zmusza swych terminatorów, aby przystępowali do Towarzystwa.

Irydion.

Złote myśli.

Szczyptę do szczypty ręka niech coraz [przykłada,
A tak z małej gromadki zrobi się gromada.

Minasowicz.

* * *

Zostaw Bogu przyszłe rzeczy, dzień dzisiejszy miej na pieczy

Legatowicz.

PIJACZKA.

Powieść w II częściach.

Z francuzkiego przetłomaczona dla „Pracy“ przez Laurę Zejdowską.

(Przedruk wzbroniony.)

3)

Część I.

Nieszczęśliwa matka.

(Ciąg dalszy.)

— Kocham cię, powiedziała, dziś wieczorem koło dziewiątej staraj się oddalić niepostrzeżenie z balu, idź i czekaj na mnie w starej kaplicy w ruinach Opactwa Relay.

Hrabia z doktorem weszli już do zamku, gdyż mieli do załatwienia pewną sprawę dotyczącą kupna gruntów. Doktór, człowiek zamożny, zgodził się na sprzedanie hrabiemu pewnej części ziemi, którą hrabia pragnął zaokrąglić posiadłości Fenestrel. Załatwiono już wszystko w mieście u notaryusza, teraz nie pozostawało nic hrabiemu, jak wręczyć doktorowi umówioną sumę 300,000 franków, co chciał załatwić wieczorem dnia tego.

— Chodź, chodź doktorze, wolę to załatwić, zanim się zjadą zaproszeni, przykro mi tylko bardzo, że nie jestem w możności spłacić ci w tej chwili całej sumy jak to było umówione, ale widzisz zmuszony byłem dziś zupełnie niespodziewanie naruszyć przygotowaną wypłatę, brak mi 100,000 fr., które za kilka dni nadeśle mi mój bankier, o czem już go zawiadomiłem.

— Wcale mi nie pilno, drogi przyjacielu, jeżeli ci potrzebne pieniądze proszę zatrzymaj i resztę jak długo tylko zechcesz.

— Nie... nie... proszę cię weż to co mam.

Ton mowy i głos drżący hrabiego zwróciły uwagę doktora.

Co to jest, masz jakieś zmartwienie, powierz je mnie, twemu staremu przyjacielowi?

Łzy ukazały się w oczach hrabiego, które starał się ukryć.

— Tak... jest coś... odebrałem dziś list... list od niego... nie miałem żadnej wiadomości od lat 20, myślałem, że umarł!

— Więc żyje? Żyje! zawołał zrywając się doktór!

Wyznaczył mi spotkanie... poszedłem, zażądał 100,000 franków, żeby uniknąć nanowo... dałem mu je i odszedł!

A przez tych lat dwadzieścia co robił, co się z nim stało?

Nie wiem, nie miałem odwagi go badać. Zresztą teraz odszedł znów i może go już nigdy więcej nie zobaczę!

Doktór schował bilety bankowe, które wyliczył mu hrabia do starego znoszonego portfelu, włożył do kieszeni tużurka, poczem starannie przypiął dla zabezpieczenia ich od zguby, uścisnął serdecznie strapionego przyjaciela i skierowali się do salonów, gdzie się zgromadzać zaczęli zaproszeni goście, na przyjęcie których hrabia przybrał z wysiłkiem swój poczciwy uśmiech.

Zostanę godzinkę lub dwie, — powiedział doktór — potem pójdę do domu, jestem stary, nie lubię chodzić spać późno, zresztą nie jest to bardzo bezpiecznie spacerować tak po nocy z dużą sumą pieniędzy w kieszeni; w naszej dolinie tyle jest ciemnych skrytek, gdzie w letniej porze chowają się chętnie włóczęgi, mieliby ze mnie ładny kąsek co?

— Nie odchódź doktorze bezemnie, odprowadzę cię aż do białego domku, tam będziesz już bezpieczny, jest mi tak smutno, potrzebuję z tobą pogawędzić.

Salony napełniły się tymczasem tłumem strojnych, wspaniałych postaci w kostyumach stylowych zeszłego wieku, nad któremi królowała wdziękiem i urokiem piękności Klotylda w kostyumie Maryi-Antoniny. Hrabia zbliżył się do niej i zapytał z dobrocią:

— A dziś jesteś szczęśliwą, moja droga Klotyldo? Ona spojrzała na niego dumnie i nic nie odpowiedziała, oddalił się smutny ze łzami w oczach, a za chwilę twarzyczka jej pokryła się rumieńcem radości, w oczach zapaliły się ognie, bo usłyszała głos cichy, który szeptał jej do uszka: „Kocham cię...“ obejrzała się choć wiedziała i tak że to był on Matis... kochanek.

— Nie zapomnij... w ruinach..., kocham, kocham...

Noc była ciepła, wspaniała i spokojna; pod wieczór o zachodzie słońca zbierały się chmury tak, że obawiano się deszczu, ale potem niebo wyjaśniło się i ukazały się gwiazd milijony, a z za drzew parku wyglądało ciekawie, wesołe oblicze księżyca. Panowie i panie z czasów Ludwika XV i Ludwika XVI błądzili jak zaklęte duchy zeszłego wieku po pachnących alejach parku, przy dźwiękach muzyki, a tajemnicze szepty i ciche rozmowy zagłuszał śpiew słowików. — Doktor Renneville zbliżył się do hrabiego Huberta ze słowy:

Wspaniała jest ta uroczystość, jestem po prostu olśniony, ale moje 70 lat upominają się już o swoje prawa, bądź zdrów, proszę cię nie chodź ze mną. — Nie, nie muszę choć na chwilkę odetchnąć spokojem lasów, chodźmy. Ujął ramię doktora i wkrótce znikli w cieniu drzew. Klotylda ukryta w ciemnej alei parku widziała ich oddalenie, a będąc teraz pewną, że nie odkryli jej schronienia, skierowała się szybko w stronę oszklonej altany, którą otworzyła kluczykiem i weszła, za chwilę otworzyła drzwi i bacznie rozejrzała się w około, na piękne, białe ubranie zarzuciła piękny płaszcz z kapturem, a podobna do ciemnego ducha prędko zdążała w stronę ruin parku. Na zegarze kościelnym w owej chwili wybiła godzina 9. W ślad za Klotyldą przesunął się cień drugi, to był Matis.

ROZDZIAŁ IV.

STRACONE SZCZĘŚCIE.

Wybiła 8 godzina wieczorem na zegarze kościelnym, w chwili kiedy Jerzy Lamarche zbliżył się do „Białego domu.“ Nagle usłyszał na drodze pod tarasem jakiś niezwykły — hałas i wybuchy głosów pełnych groźby, poczem wyraźnie rozróżnił te słowa: „Na śmierć Pijaczka, na śmierć kusicielka.“

Przy świetle księżyca zobaczył grupy mężczyzn i kobiet, wieśniaków z chat okolicy. Zgromadzili się tłumnie u stóp terasu, zaglądali przez balustradę, a wszystkie spojrzenia skierowane były ku dolnym oknom białego domku przez firanki, z których przebijało blade, żółte światło. Zbliżył się i złączył z tłumem, wtedy na jego widok umilkły głosy, a ludzie przestraszeni odsunęli się od niego. Poznali go... ten co wracał tak nagle, co spadł między nich jak piorun, to był mściciel, to był mąż! On miał prawo sądzić, miał prawo ich badać. Uchwycił kilku za bluzy, a choć się wyrywali, trzymał ich silnie i pytał.

— Czego tu chcecie? Kogo nazywacie Pijaczką? Jaką to kobietę przezywacie kusicielką? — Ale oni milczeli z obawy, aby ich odpowiedź nie położyła go trupem.

— No dalej czy nikt nie będzie miał odwagi odpowiedzieć?

Nie było już nikogo, znikli, rozproszyli się, droga była pustą, groźby umilkły!

— Ah! nędzni — zawołał — więc oni się mnie boją, dlaczego?...

On się mylił, to nie była bojaźń, to była tylko litość! — Wtedy przyszło mu na myśl wszystko co go spotkało od chwili wyjścia w doliny: rozmowa z młynarzem, jego dziwne zachowanie, ucieczka Jana Bathelin i te słowa, które rzucił mu z pospiechem:

— Dlaczego powróciłeś, uciekaj, tu wszystko dla ciebie umarło!

Ci ludzie na drodze, którzy na jego widok szeptali:

— To on, to mąż!

Wspomnienia te padły mu na mózg ołowiem, myśli się zmąciły, sił znów zabrakło. Nieraz błyskawica rozjaśniła umysł zgnębiony, a jakaś szalona nadzieja wracała mu przytomność. Nadzieja? Czego? Bo czegoż się mógł spodziewać, na co liczył, przecież przed chwilą słyszał wyraźne groźby i okrzyki: „Na śmierć“, ale to chyba nie miało nic wspólnego z jego Karoliną, tak... tak w tym białym domku ona już nie mieszka, to ktoś inny jest przedmiotem ogólnej pogardy. — Pewno przeniosła się do innego mieszkania,

może nie zdążyła go o tem zawiadomić! Nerwy jego się uspokoiły, doznał wielkiej ulgi, sam się już śmiał ze swego przerażenia. Przecież w pierwszej lepszej chacie dowie się o nowem mieszkaniu ukochanej żony. Zbliżył się do najbliższego zabudowania i zapytał siedzącej przed domem wieśniaczki:

— Przepraszam panią, kto mieszka teraz w białym domu?

Ta widocznie nie znała go zupełnie, gdyż patrzała na niego obojętnie i odpowiedziała:

— A któżby jak nie pijaczka.

Miał jeszcze odwagę pytać.

— Pijaczka? A jakież jest właściwe jej nazwisko?

— Karolina Lamarche, pewno pan nie jesteś z naszych stron?

Teraz nie mógł już wątpić... przybity, nieprzytomny, postarzały wracał w stronę białego domu i stanął u furtki. Znał go dobrze, ten miły biały domek, pokryty zwojami bluszczy i powoi, tego tylko nie wiedział, że podczas jego nieobecności z drugiej strony domu postawiono zabudowania, w których paliły się ogniska ojca Lanyeranne. Furtka była otwarta, ale on nie miał odwagi iść dalej, stał i patrzał w słabo oświetlone okna dalszego pokoju, za któremi przesuwał się cień dobrze mu znanej postaci. Tak, to była ona, Karolina, to był jej chód cichy, jej ruchy pełne wdzięku... tak to była ta świeża czysta lilia doliny, którą tak kochał i tu kiedyś zostawił. Zbliżyła się do okna, otworzyła je szeroko, a on przerażony cofnął się i skrył za drzewo, serce biło mu jak szalone, Karolina wróciła w głąb pokoju. Po chwili do jego uszu doszedł szept cichy, rzewny, modlitwa wśród łez.. słyszał wyraźnie każde słowo, chociaż nie mógł ich pojąć, to tylko wiedział, że to modlitwa matki u kolebki zmarłego dziecka.

— Boże przyjm duszę dziecka mego do Swej chwały i ześlij łaskę Twoję na matkę tak bardzo nieszczęśliwą i godną Twego zmiłowania!" Więc w domu Karoliny umarło dziecko! Ale które z jego dzieci? Czy Klara czy Luiza? Czy czarne czy niebieskie oczy zamknęły się już na wieki? Tak teraz był pewien... ale cóż to drzwi domu otwierają się a na progu stoją dwie śliczne ukochane bliźniaczki... Krzyk radości szalonej zaledwie jest w stanie powstrzymać ten nieszczęsny trapiony rozpaczą człowiek... dziewczynki idą w stronę balustrady i oddychają świeżem wonnem powietrzem wieczora. Poznał je, poznał to Klara i Luiza żyją, żyją... ale czyjeż to dziecko umarło w jego domu? Przeszedł furtkę, zbliża się do dzieci, wyciąga ramiona, one patrzą zdumione... nie poznają go, ale on uśmiecha się tak słodko... pamięć wraca do ich maleńkich główek, rzucają się w jego objęcia, a on tuli do piersi ciemną i jasną główkę wsród ich łez i okrzyków. Papo.. Papo... Oh! mamo chodź to Papa! Na te głosy pełne radości przybywa i staje w drzwiach chwiejna jakaś postać, ale Jerzy nie patrzy w jej stronę, chwyta znów gorączkowo dziewczynki i pyta:

— Kto to umarł tam w domu, kto mówcie? Obie dziewczynki naraz zasmucone odpowiadają: — To nasz mały braciszek Henryk! Okrzyk pełen bólu odbił się o jego uszy, Karolina znika w drzwiach i zamyka je za sobą.

— Nie, nie to chyba nie była ona, ten cień blady, to widmo wynędzniałe!

Jerzy rzuca się ku drzwiom otwiera i staje wobec zagadki, którą nie umie rozwiązać... nic nie rozumie, szuka resztek nadziei w słowach pełnych miłości.

— Karolino! Moja ukochana najdroższa Karolino!

Ona staje mu na drodze, broni wstępu i mówi głosem, którego nigdy u niej nie słyszał.

— Nie wchodź... przez litość! Ja jestem niczem dla ciebie... ja jestem skazaną przez wszystkich na wieczne potępienie. Nie mam prawa się bronić, nikt mi nie uwierzy... nie wchodź przez litość, nie wchodź!

On ją nie słucha, potrąca brutalnie i wpada do wnętrza domu. Znalazł się w pokoiku skromnym, ale gustownie urządzonym, wszystko tam było jasne, wesołe, niebieskie. Kosze kwiatów stały w oknach, kilka wygodnych foteli, klęcznik, na ścianach wisiały ładne akwarelle, na kominku stały wazoniki i statuetki, zresztą pełno było sprzętów i drobnostek, które świadczyły wymownie o estetycznych upodobaniach mieszkanki tego gniazdka.

Uwagę Jerzego jednakże zwrócił przedewszystkiem przedmiot, którego nie spodziewał się tu zastać. Przy łóżku matki stała kołyska! Kołyska, do której przystawiono stolik, na nim był krzyż, a z każdej jego strony zapalona świeca, zobaczył też obok krzyża naczynie z wodą święconą i umaczaną w niej zieloną gałązkę. W tej kołysce spoczywało dziecko z zamkniętemi oczkami, uśpione na wieki snem śmierci!

Jerzy pochylił się nad kołyską, patrzał na to zmarłe maleństwo źrenicami rozszerzonemi od strasznego przerażenia, poczem zwrócił się do żony i głosem złamanym trwogą zapytał: To dziecko?,..

Karolina bez słowa odpowiedzi stała w progu oparta całym ciężarem ciała o drzwi.

Klara i Luiza przytulone do ściany patrzały przerażone na ojca.

Oto nadszedł ten straszny dzień oczekiwany!

— To dziecko czyje, no, mów.

— Słyszę... słyszę...

— No, więc czyjeż ono jest, odpowiadaj?...

Padła na kolana...

— Słuchaj, ja jestem niewinna... przysięgam ci...

— Czyje to dziecko?

— Jerzy... Jerzy przysięgam... o Boże, cóż mu powiedzieć?...

— Ono jest twoje... tak?

— Tak!

— Ah! Nędznico... nędznico!

— Nie, nie przysięgam ci, nie potępiaj mnie! Ja ciebie tak kocham.

— Milcz.

— Tak, nie przestałam cię kochać, myśleć o tobie! Nigdy nie znałam innego prócz ciebie. Musisz mi wierzyć... ty jesteś przecież mężczyzną, może zrozumiesz całą tę tajemnicę co mnie otacza.

— Ah! Nędznico, powtarzał, nie patrząc nawet na nią, a rękoma objął czoło, jakby do niego bronił przystępu szaleństwa! Nagle rzucił się ku Karolinie, oczy jego pałały wściekłością; biedna kobieta ujrzała w nich śmierć dla siebie... więc się już nie broni, wstaje tylko chcąc z odwagą cios odebrać, jest przecież niewinną! Szepcze z cicha:

— Zabij mnie, zabij... to szczęście dla mnie, ja ci przebaczam... przecież kiedyś dowiesz się prawdy. Zabij mnie.

On się zbliża, ale pomiędzy nią i nim jest przeszkoda... bliźniaczki przerażone rzucają się w objęcia matki.

Lamarche chce je odtrącić, wtedy one obejmują ją za szyję swojemi maleńkiemi rączkami i wołają:

— Papo... papo nie rób nic złego mamie!

Mąż ustępuje ojcu... chcąc ugodzić matkę trzebaby użyć siły przeciwko dzieciom, a to stało by się profanacyą... gniew go opuszcza, ochłonął, oddala się w drugą stronę pokoju.

Bada znów dalej.

— Zatem to dziecko?

— Jest moje.

— Więc zapomniałaś jednocześnie o naszej miłości i twoich obowiązkach?

— Na życie moich ukochanych dzieci, które mnie broniły przeciwko tobie, przysięgam ci Jerzy oh! mój Jerzy ukochany, że cię nigdy nie zdradziłam!

Wzruszył ramionami i uśmiechnął się ironicznie, jednakże na usta jego nie wybiegło żadne przykre słowo. On tak bardzo kochał tę kobietę, przy niej były dzieci, mogły go usłyszeć.

— Posłuchaj mnie, odezwała się Karolina, ja jestem chora, bardzo chora i to od dawna, a chociaż miewam chwile polepszenia, jednakże podlegam dziwnym objawom, które znów potem nagle ustają. Zresztą czyż tego po mnie nie widać przecież jestem tak bardzo zmieniona. Radziłam się doktora Renneville... ale on sam nie zrozumiał powodu moich cierpień. Znajdowano mnie często bez czucia, bez życia na drodze w lesie, nawet ztąd bardzo daleko... zostawiałam drzwi domu otwarte... dzieci bez opieki!... Te omdlenia trwały całemi godzinami, a ja traciłam pamięć o tem; daremnie starałam się przypominać sobie jakim sposobem tam się znalazłam... byłam jakby pijaną, brakło mi tchu, miałam szalone bicie serca. Przedtem przecież nigdy nie doznawałam czegoś podobnego — wszak wiesz byłam silna, dobrze zbudowana i nie chorowałam wcale. Oh, czemuż ciebie tu nie było... czemu to wszystko stało się podczas twojej nieobecności? Często myślałam, że umrę, ale nie pisałam o tem do ciebie niechcąc cię przerażać... trwało to aż do chwili kiedy... Tu nieszczęśliwa kobieta zatrzymała się, a patrząc na męża z przerażeniem mówiła: „Oh, nie każ mi dalej mówić... rozkaż mi milczeć.

Ale on ponury z ironicznym uśmiechem mówił nieubłaganie:

— Mów, kończ swoje kłamstwo.

— W chwili owej powiedziałam sobie, że padłam ofiarą najstraszniejszej zbrodni... chciałam umrzeć, dzieci mi przeszkodziły... poddałam się bez oporu okrutnej fatalności co nademną zawisła... przestałam z domu wychodzić, ukrywałam mój wstyd niezasłużony, znosiłam obelgi, i cóż, nic na to nie mogłam poradzić.

— Kto jest twoim kochankiem?

— Ja nie mam kochanka.

— Niech i tak będzie, więc któż jest ten, którego jesteś ofiarą?

— Nie wiem!

— Jego nazwisko?

— Nie znam go!

— Kłamiesz.

— Mówię prawdę!

— Jesteś istotą najpodlejszą w świecie, jak mogłaś upaść tak nizko?

— Jestem niewinną, nigdy ani przez chwilę nie przestałam być godną twej miłości i szacunku moich dzieci.

Mówiąc to, pomimo swego przygnębienia, miała w oczach dumę i odwagę.

— Nie wierzę ci, rozumiesz, nie jestem taki głupi!

— Niestety wszystko już dla mnie stracone. A ja miałam nadzieję, że zaufasz twojej żonie, myślałam, że będziesz mnie bronić przeciw całemu światu... to był piękny sen i sprawdzić się nie może. Jesteś tylko człowiekiem, który sądzi, że jest zdradzonym, opanowała cię zazdrość, ale ja ci przebaczam.

Na dźwięk tego głosu tak słodkiego, ukochanego, Lamarche zadrżał, on przecież kochał do szaleństwa tę białą lilije bez skazy... serce jego ścisło się żalem, lecz oczy padły znów na kołyskę, a biedna Karolina widziała, jak zaraz znikło chwilowe wzruszenie i wszelka dla niej nadzieja.

Wyciągnęła ramiona ku niemu błagalnie i wołała z rozpaczą:

— Kocham cię Jerzy, kocham!

Ale on tam w kolebce widział zmarłe dziecko... miał dowód.

Nanowo rozpoczęło się badanie.

— Czy wiesz jak cię przezwano?

— Tak! Pijaczka. W początku nie wiedziałam co to znaczy i że to się do mnie odnosi, dopiero kiedy doktór powiedział mi: „Pij pani trochę mniej“ zaczęłam się nad tem zastanawiać... Biedny staruszek, przecież ja piłam tylko czystą wodę, a jednak czułam ciężar w głowie, nogi się podemną uginały, ciemno mi było w oczach, słowem musiałam wyglądać jak ci, co powracając z wesołej zabawy, zataczają koła na drodze, widok ich zawsze napełniał mnie odrazą. Ja pijaczką, o Jerzy, więc ty wierzysz w to, tak jak inni.

Mówiąc to, udręczona kobieta zaczęła rzewnie płakać.

— Jestem chorą zaprowadź, zawieź mnie do Paryża, do doktora, może tam odkryją powód moich cierpień.

Lamarche nic nie odpowiedział, potem zawołał do dzieci:

— Klaro, Luizo, chodźcie tu.

Pobiegły do niego, tuliły mu się w ramiona, usiadły na kolanach, ale on nie uśmiecha się do nich, nie oddaje pieszczot. Po wybadaniu matki przyszła kolej na nie.

— Powiedzcie mi moje dzieci, musiałyście bardzo się nudzić przez cały czas, co mnie tu nie było, czy myślałyście o swoim ojcu?

— Oh tak, codzień, ciągle. Tak nudziłyśmy się, ale mama mówiła nam zawsze: Bądźcie cierpliwe, on wróci niedługo!

— Przecież nie byłyście zawsze same?

— Oh nie! mama nas nigdy nie opuszczała.

— A nie było więcej kogo prócz mamy?

— A tak, stara Katarzyna, ale ona ciągle jest w złym humorze.

— Ale może był tu jeszcze kto inny, jaki pan?

Nareszcie Karolina zrozumiała myśl jego.

— Milcz... milcz, jak możesz mnie znieważać tak wobec dzieci!

A małe aniołki nie wiedząc, jaki bój śmiertelny toczyli z sobą rodzice, mówiły dalej: — Przychodził tu robotnik Langeraume przynosił nam kwiaty, ptaszki...

— „Ale więcej nikt już tu nie przychodził, nikt?

— Nie papo, nigdy.

— Ktoś taki, co was pieścił, przynosił podarunki?

— Nie papo, odpowiedziały dziewczynki ze łzami w oczach, poczem pobiegły do matki. — Lecz Karolina popycha je znów do ojca.

— Mówcie dzieci, odpowiadajcie mu bez obawy o waszem życiu i o waszej matce, on ma prawo badać was... Badanie widocznie już skończone, Jerzy podnosi oczy na żonę i mówi wolno:

— „Więc nie chcesz mi powiedzieć nazwiska tego człowieka.“ Milczenie... tylko przez otwarte okno słychać oddalone tony muzyki balowej z pałacu i straszne echo z doliny. „Na śmierć trucicielko!“ Jerzy drgnął. To o niej, o Karolinie tak mówią, o jego żonie, to okrzyk potępienia i zemsty. On nie ma odwagi myśleć o tem, doznaje śmiertelnego strachu, żeby mu dzwonią. Ruchem pełnym zgrozy ukazuje kołyskę i mówi tak cicho, że ona zaledwie jest w stanie zrozumieć go.

— „Z czego umarło to biedne dziecko? Przecież musiałaś wzywać doktora Renneville; cóż on mówił, co radził?“ — „Odwiedzał je codzień, a jednak nie mógł ocalić.“

— Czy wiedział, co to za choroba?

— Nie, zdawał się być zadziwiony, nic mi nie mówił. Jerzy otarł zroszone potem czoło, wstał, wyszedł na taras, oparł o balustradę; księżyc oświecał jasno drogę, noc była spokojna, a on z rozkoszą odetchnął świeżem żywszem powietrzem, po chwili chciał wracać do pokoju, gdy usłyszał szmer i rozmowę dwóch ludzi zbliżających się w stronę białego domu. Chociaż ich dawno nie widział, poznał od razu, że to był doktór Renneville i hrabia Hubert Thiellay. Zatrzymali się blisko niego, a hrabia powiedział: „Oto biały domek, teraz cię pożegnam, kochany doktorze, jesteś już bezpieczny, za kilka minut będziesz u siebie. Dobranoc. — Podali sobie ręce, poczem hrabia wrócił w stronę Fenestrel, a doktór szedł dalej, ale zaledwie postąpił dwa kroki, stanął przed nim Jerzy i głosem drżącym powiedział: Doktorze, jestem Jerzy Lamarche... mąż Pijaczki, proszę pana chodź do mnie.

— Czego pan żądasz?

— Chcę zaprowadzić pana do zmarłego dziecka.

— Nie jestem mu już potrzebny.

— Chodź doktorze, powiedział stanowczo Lamarche. Doktór się nie opierał, pchnął furtkę i weszli.

Karolina stała dotąd na miejscu, na którem zostawił ją Jerzy i teraz nawet nie zwróciła uwagi na ich wejście, pogrążoną była ciągle w bolesnem osłupieniu.

— Panie, powiedział Lamarche — przybyłem tu, nic nie wiedząc, co zaszło podczas mojej nieobecności. Dziś wieczorem słyszałem okrzyki i groźby skierowane do tego domu, a one przejęły mnie zgrozą.

Panie Renneville, pan leczyłeś to dziecko, z czego ono umarło? — Twarz doktora powlekła się powagą, spojrzał na dziecko, jakby raz jeszcze chciał upewnić się w swoich zapatrywaniach.

— Mój panie, za kilka godzin policyja będzie zawiadomioną o mojej opinii, zatem przed panem nie mam potrzeby ukrywać prawdy, to dziecko padło ofiarą zbrodni, jest otrute.

Ale kto... kto jest tym zbrodniarzem? Mów doktorze.

Tego wyjawić nie mogę... nie jest to moim obowiązkiem... nie oskarżam nikogo, doktór może wskazać zbrodnię, ale nie zbrodniarza, to należy do sprawiedliwości...

— Jednakże masz pan pewne posądzenie, pewność może?

Pewności nie mam i w liście, który pisałem do prokuratora, nic o tem nie wspominam.

— Czy tylko pewien jesteś pan tej zbrodni?

Inaczej nie mogę sobie wytłomaczyć tej śmierci, zresztą będzie wyznaczony lekarz z urzędu i zrobią sekcyją przed badaniem sądowem.

Karolina zrozumiała co mówili i wzruszyła ramionami z politowaniem i powiedziała z nerwowym śmiechem:

— Co trucizna! Ależ to głupota! Któżby pragnął śmierci tego maleństwa, komuż by na tem zależało? Kto zbliżał się do niego prócz mnie, ja jedna pielęgnowałam je w chorobie, ja dawałam mu lekarstwa, sama je przyrządzałam. Ktoż mógł by tu przyjść i popełnić taką zbrodnię, trzeba być warjatem, żeby mówić podobne brednie!

Jerzy patrzał na nią przerażony, jakto więc ona sama bezwiednie przyznawała się do tego, bo jeżeli nikt prócz niej nie zbliżał się do dziecka... to ona, ona sama popełniła zbrodnię!

Renneville uczuł litość nad nieszczęśliwym człowiekiem, zbliżył się do niego i powiedział ze współczuciem:

— Chodź pan do mnie, panie Lamarche, nie możesz tu dłużej pozostać, to dla ciebie zbyt wielkie tortury, daję panu u siebie gościnność.

— Nie... dziękuję, jestem panu wdzięczny niewypowiedzianie, pozostanę, jeszcze nie skończyłem... mam tu coś do załatwienia.

— Doktor zawahał się, jakże tu odejść od człowieka bliskiego warjacyi, ale było już późno, zegar kościelny wydzwonił 10 godzinę, doktór był starym, potrzebował spoczynku; skłonił się Jerzemu, potem rzucił pogardliwie spojrzenie na Karolinę i wyszedł. Wkrótce sylwetka jego znikła w cieniu drzew doliny.

W tej samej chwili do uszu Karoliny doszedł złowrogi szmer, który prześladował ją od rana: „Na śmierć trucicielka“. Skoczyła jak szalona do okna i wsłuchiwała się przez chwilę w to straszne echo, potem schwyciła męża za rękę i wskazując mu czarną próżnię w oknie, pytała go z rozpaczą:

— Więc to na mnie wydają taki wyrok? „Tak“ Oh! to straszne, straszne! Pobiegła do kołyski, objęła ją ramionami i mówiła do zmarłego maleństwa: — „słyszysz, słyszysz biedne dziecko, mnie oskarzają o śmierć twoją, mnie com cię kochała, bo przecież byłam twoją matką! — Potem uklękła u nóg męża a patrząc na niego z niewypowiedzianą litością powtarzała: Oh! Jerzy.. Jerzy żal mi cię z całego serca, bo ty jesteś bardziej nieszczęśliwy niż ja! Niestety te słowa tak słodkie, tak pełne prawdziwego poświęcenia nie wzruszyły nawet biednego człowieka, on teraz nic nie słyszy, jedno ma tylko pragnienie... uciekać, uciekać daleko z tego przeklętego domu! Karolina patrzy przerażona jego milczeniem. O czem on myśli, jakie ma zamiary... coś chyba postawił, bo woła na dziewczynki.

— Klaro, Luizo chodzicie tu, one się zawahały, patrzą pytająco na matkę, ona daje im znak, by były słuszne.

— Klaro, Luizo pójdziecie ze mną.

— Gdzie nas chcesz zaprowadzić Papo?

— Nie wiem jeszcze, tu nie możecie pozostać.

— Ale mama pójdzie z nami?

— Nie.

— Dlaczego?

— Bo ona musi tu być jutro kiedy ją przyjdą badać!

— Nie.. nie, my mamy nie porzucimy, ona jest taka dobra, pójdziemy, jeżeli ona pójdzie z nami.

— „Zabierasz mi je, pyta nieszczęśliwa, zabierasz?“

— Tak!

— Nie.. nie, ty mi je kradziesz! Tak!... Pada mu do nóg biedna matka i szepcze z rozpaczą: Boże! mój Boże!

— On jak szalony porywa dziewczynki i pomimo oporu i krzyku z ich strony unosi je z sobą, ucieka z niemi jak złodziej.

— Kiedy Karolina po chwili przyszła do przytomności, nie mogła narazie pojąć co się tu stało, dopiero powoli wracała jej pamięć...„Dzieci, gdzie moje dzieci? Klaro, Luizo! Ale one już są daleko, co on zrobił z niemi, gdzie uprowadził? Wybiega na taras, biegnie dalej na drogę, w dolinę, na pola, błądzi, szuka ich i woła „Moje dzieci Gdzie moje dzieci, a echo powtarza: „Gdzie dzieci?“

ROZDZIAŁ V.

RUINY OPACTWA PRIEURÈ.

Hrabina Thiellay i Matis naznaczyli sobie rendez-vous w ruinach kaplicy Opactwa Prieurè. Tam to zwykle spotykali się w nocy ile razy Klotylda mogła się z domu wymknąć lub hrabia był nieobecny. Obok kaplicy przechodziła droga prowadząca do lasu, na której o tak późnej godzinie panowała zupełna cisza. Klotylda przyszła pierwsza, przyzwyczajona do tych nocnych wycieczek, bez obawy przebiegła wieś całą pogrążoną we śnie. Otworzyła drzwi, weszła i czekała przybycia Matisa..... nadbiegł też zaraz, wpadł pospiesznie do kaplicy i drzwi zatrzasnął za zobą, ona chciała przemówić, lecz Matis zamknął jej usta pocałunkiem i szeptał:

— Milcz, milcz przez litość!

Hrabina zrozumiała, że im zagraża jakieś niebezpieczeństwo, obok jej serca biło serce Matisa gwałtownie, przestrach ją przejął, usta ich się rozłączyły.

— Co się stało?

— Ktoś mnie śledził, widziałem wyraźnie przy świetle księżyca cień człowieka, szedł za mną, chcąc mu ujść przebiegłem przez boczną drogę polem i dopadłem kaplicy.

— A jak był ubrany?

— Jak tutejsi wieśniacy.

— No, to pewno który z robotników, czegoż się tak przestraszyłeś?

— Przeciwnie, nie zdaje mi się, żeby to był robotnik, na pierwszy rzut oka byłem pewien, że to twój mąż.

Młoda kobieta zadrżała od stóp do głów.

— Mój mąż — powiedziała tłumiąc okrzyk strachu. Nie, nie, to niemożliwe, widziałam go, jak odszedł z doktorem Renneville, nie miał czasu powrócić do pałacu, przemienić ubrania balowego na wieśniacze i pójść za moim śladem.

— Ja sobie mówiłem toż samo a jednakże... Nie myślmy już o tem, kocham ciebie! Ujął ją w ramiona, Klotylda uspokojona tuliła się do niego. Matis nie widząc jej dobrze uchylił drzwi kaplicy, światło księżyca padło na hrabinę i dodało jej niezwykłego uroku.

— Pozwól mi podziwiać cię, jakże jesteś piękną.

Ona odrzuciła płaszcz i kaptur, stanęła przed nim, jakby jakie widziadło z innego wieku, na tle tych ruin starożytnych.

— Kocham cię, kocham, jak szalony, zawołał, schwycił jej rączki, otoczył niemi swoję szyję, usta się ich zbliżyły, ona omdlewała z upojenia w jego objęciach, lecz nagle odskoczył od niej i jednym rzutem znalazł się przy drzwiach kaplicy.

Klotylda razem z nim usłyszała wyraźnie szmer kroków na drodze, po chwili w świetle księżyca zobaczyli postępującego ostrożnie człowieka, który ciągle oglądał się po za siebie i zbliżał w stronę kaplicy.

Ręka hrabiny oparta na ramieniu Matisa zadrżała silnie, on sam zdawał się być bardzo przestraszony.

— To on, widzisz teraz, że to on!

— Tak, jesteśmy zgubieni!

— Nie bój się, jestem tu na to, żeby cię obronić!

Człowiek co się zbliżał do miejsca ich ukrycia to był... Hubert hrabia Thiellay!

— Któż mógł zdradzić tajemnicę ich miłości?

— Jestem zgubiona... wymówiła hrabina głosem przerażonym.

— Odwagi, trochę odwagi... więcej przytomności umysłu, patrz, on się skrył, nie zwraca uwagi na kaplicę.

Było to prawdą, hrabia schował się za drzewo, cóż zatem przychodził tu robić?

Klotylda ze wszystkich sił swoich oparła się na ramieniu kochanka, drży cała i powtarza:

— Boję się, boję się!

— Przecież ona wyraźnie widzi swego męża, jest to Hubert, ale nie taki, na jakiego patrzała przed chwilą w ubraniu balowem, ma na sobie codzienny swój ubiór, wieśniaczą bluzę i mały miękki kapelusz, tak to on, hrabia Thiellay.

— On na nas tu czeka jestem pewna, sądzi, żeśmy jeszcze nie przybyli. — Ale cóż to znów słychać jakieś kroki, kto to idzie, przecież hrabia nie wyszedł ze swojej kryjówki?

Matis i Klotylda wstrzymują oddech... nowy przybysz jest to doktór Renneville, poznali go oboje, lecz nie mieli czasu wymówić do siebie jego nazwiska, kiedy człowiek, schowany za drzewo jednym skokiem rzucił się na doktora jak dzikie zwierzę chciwe żeru — dwa ciała złączyły się w walce śmiertelnej, gdyż stary doktór pomimo swoich 70 lat bronił się dzielnie; po chwili widocznie jednakże osłabł, gdyż wołał rozpaczliwie:

— Do mnie, do mnie, na pomoc.

— Ten krzyk usłyszeli ukryci w kaplicy... lecz czemuż to Matis, który jest młody i silny nie idzie ratować napadniętego? Tam przecież kona starzec bezbronny! On rzucił się w pierwszej chwili, lecz dwie małe rączki uczepiły się jego ramienia...

— Nie... nie zostawiaj mnie samej.

— Ależ on go zabije, puść mnie...

— Więc chcesz, żebym on dowiedział się wszystkiego? Chcesz, żebym ja straciła honor, on mnie zabije... mnie też.

— Klotyldo zlituj się, ja muszę iść go ratować.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

83

Nekrologia.

S. p. Adam Janta Połczyński.

Dnia 13 stycznia umarł w Lugano śp. Adam Połczyński, syn śp. Adama, którego grzebaliśmy przed niespełna rokiem, dziedzic Komorzy, w powiecie tucholskim w Prusach Zachodnich, młodzieniec 28-letni. Po żonie Maryi z Połczyńskich, zgasłej po krótkiem pożyciu, wziął chorobę płucną, która trawiła aż przegryzła wreszcie pasmo młodzieńczego żywota. „Robak się legnie i w bujnem kwiecie.“ W naszej „Pracy“ powinno być miejsce głównie tylko dla rzeczy bardzo ważnych a przy wspomnieniach pośmiertnych dla osób wybitnych i o wielkich zasługach. Ale jak młodość w życiu ma swoje prawa, swój wdzięk i swoje znaczenie, tak ma je niekiedy i w życiu publicznem.

S. p. Adam był zbyt zacnym, zbyt szlachetnie porywał się ku wszystkiemu, co piękne i dobre, zbyt wielu potrzebujących wspierał, zanadto kochał sprawę ojczystą i nazbyt wspaniale roztrwaniał myśli i czucia i piękne swe dochody na poparcie usiłowań narodowych, aby na świeżej mogile nie położyło mu się wieńca publicznie.

Bo daleko po za ramy domowych spraw wybiegał myślą i sercem.

Wszystko było u niego na wielką skalę. Sprężysty w myśleniu, był w rzeczach finansowych z tych, co zdołają jednym rzutem wiele dorobić. Za to też choć liczący i uważny, nigdzie nie zatrącał ową wstrętną małostkowością, co to niby praktyczna a w rzeczywistości przeczy tylko godności człowieka.

Wesoły i otwarty nie sprawiał żadnej trudności w pożyciu. I gość nieznajomy oryentował się od razu wśród tych cech młodej duszy, czystej i swobodnej bez zastrzeżeń i tajnych zabytków. Za to w rozmowie zdradzał myśl bujną i wiedzę bogaconą pilnie a uważną na rzeczy przyszłe.

Niech spoczywa w spokoju!

Wiadomości.

— **W chwili**, gdy niniejszy numer „Pracy“ dajemy do druku (czwartek południe) toczy się przed tutejszą izbą karną sądu ziemiańskiego proces prasowy polityczny przeciw naczelnemu redaktorowi „Górnoślązaka“, p. Wojciechowi Korfantemu z Katowic, oraz przeciw byłemu odpowiedzialnemu redaktorowi „Pracy“, p. Janowi Kamieńskiemu z Poznania, o dwa artykuły, zamieszczone w „Pracy“ w roku zeszłym p. t. „Do Braci Górnoślązaków“ i „Do Niemców.“

Przebieg procesu podamy w następnym numerze, gdyż dziś jest prawie cały nasz skład redakcyi na sądzie.

Po sześciogodzinnych rozprawach zasądzono stosownie do wniosku pierwszego prokuratora pana Korfantego na 4 miesiące, a p. Kamieńskiege na 2 miesiące więzienia. Prokurator stawił wniosek, aby p. Korfantego natychmiast aresztowano i do więzienia odstawiono.

Obrońca p. dr. Celichowski wniósł, aby p. Korfantego puszczono na wolność za kaucyą 4000 marek, które wydawca p. Biederman wręczył na ten cel panu obrońcy. Sąd po naradzie uchwala odrzucenie ofiarowanej kaucyi i natychmiastowe uwięzienie pana Korfantego, którego z ławy oskarzonych odprowadzają do więzienia.

Jest to więc w krótkim czasie druga ofiara sprawy górnoślązkiej.

Obecnie mamy pięciu redaktorów w więzieniu.

Rodacy! w tej ciężkiej chwili nie opuszczajcie nas i gromadźcie pod nasz sztandar jak najliczniejsze nowe zastępy Czytelników, gdyż w myśl słów naszego nieśmiertelnego wieszcza „wspólna moc tylko zdoła nas ocalić!“

— **Niektore gazety** niemieckie doniosły, jakoby Najprz. X. Arcypasterz wydał był okólnik do duchowieństwa, w którym temuż poleca:

„Wszystkie życzenia i żądania niemieckich katolików wedle możności uwzględniać, wychowanie dzieci przez szkołę zaniedbane w nauce przygotowawczej do Sakramentów św. uzupełniać, unikać współpracownictwa z pismami radykalnemi polsko-narodowemi, a popierać te, które wiernie przy cesarzu i kościele trwają, dalej zdala się trzymać od tych zebrań polskich, które podburzający mają charakter a zwłaszcza tych, które nie mają nic wspólnego ze sprawami szkólnami lub kościelnemi itd. itd.“

Z autentycznego źródła poinformowani możemy donieść, że wiadomość o takim okólniku i wszystkich w tym rzekomym okólniku zawartych poleceniach jest od początku do końca zmyśloną.

Do sprawy tej powrócimy jeszcze w następnym numerze.

— **Składki** na fundusz dra Rakowskiego zwiększają się z dniem każdym. Spis składkujących podamy dla braku miejsca w następnym numerze. Dalsze składki na ten

cel przyjmujemy nadal jak najchętniej i przypominamy sprawę tę ofiarności naszego społeczeństwa.

— **Z teatru.** W sobotę i niedzielę wieczorem słynna opera komiczna Offenbacha: „Życie paryskie“, w której wszystkie siły śpiewne naszej sceny wezmą udział. Dyrekcya żywi przekonanie, że wystawiając starannie duże dzieło muzyczne najsłynniejszego kompozytora francuskiego, zaskarbi sobie względy wielbicieli operetki, którzy niewątpliwie zapełnią teatr po brzegi. Po udanem „Życiu paryskiem“ nastąpi cały szereg innych operetek.

W niedzielę po południu o godzinie 3-ej piękna komedya Z. Przybylskiego p. t. „Dwór w Władkowicach“ po cenach do połowy zniżonych.

— **Dla gimnazyastów wydalonych i zasądzonych** nadesłała pani N. z N. 20 mr. Dotąd złożono na ten cel 192 m. 20 fen.

— **Na czytelnie ludowe** nadesłało Towarzystwo św. Barbary z Oberhausen 20 mr.

— **Gniezno.** Pan Paliński, redaktor „Lecha“ gnieźnieńskiego, zaczął dnia 18 go b. m. odsiadywać 14-tygodniową karę więzienną, na którą skazany został za rzekome przestępstwa prasowe.

— **Zaszczytnie** znana i bardzo ruchliwa firma „Antoni Rose“ w Poznaniu — w Bazarze, wydała świeżo piękną seryę kart pocztowych, przedstawiających w 15-tu kolorowych kartonach artystycznie wykonane „*Typy wielkopolskie*,“ ze stósownemi pięknemi wierszami. Jednocześnie zwracamy uwagę Szanownych Czytelników na piękną seryę kart pocztowych, wydanych nakładem tejże firmy, a przedstawiających w ślicznem i rzeczywiście artystycznem ugrupowaniu portrety polskich poetów. Każda Polka, każdy Polak, dbający o honor narodowy i cześć własną, powinien w dzisiejszym czasie rozwydrzonej hakaty używać do korespondencyi tylko kart pocztowych polskich, a nie obcych. W tym celu każdy dom polski powinien się zaopatrzyć w karty pocztowe narodowe, które w wielkiej obfitości i w nader bogatym wyborze ma na składzie firma „Antoni Rose.“

— **Piękne portrety** kredkowe wykonuje według fotografii bardzo tanio p. Wacław Stefański w Poznaniu przy ulicy Głogowskiej nr. 99. Polecamy względom Czytelników zdolnego i pracowitego młodego rodaka, odsyłając ich po bliższe szczegóły do odnośnego inseratu. Portret zacnego literata-jubilata, p. Józefa Chociszewskiego z Gniezna, wykonany przez p. Stefańskiego, wystawiony jest w handlu artystycznych obrazów pani Neyman (firma Ikon) przy ul. Rycerskiej nr. 1.

— **Swiece** na uroczystość Matki Boskiej Gromnicznej poleca w wielkim wyborze i po jak najtańszych cenach p. B. Sniegocki, drogerya „Universum“ w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38 (tuż przy placu Wilhelmowskim.)

— **Towarzystwo „Kuchnia dla ubogich.“** Liczba urządzeń dobroczynnych, rdzennie pożytecznych, powiększa się w mieście naszem, dzięki przedsiębiorczości niestrudzonych w tym kierunku pań naszych, urządzeniem „kuchni dla ubogich.“ — Ksiądz prałat dr. Lewicki, proboszcz świętomarcińśki, przyjął łaskawie patronat towarzystwa i ofiarował na cele tegoż lokal w suterenie wikaryatu św. Marcina z wchodem od ul. Wysokiej. Dzięki ofiarności zacnej inicyatorki tego przedsiębiorstwa dobroczynnego, kuchnia została otwartą we wtorek d. 7-go stycznia r. b. o godzinie $11^1/_2$, a dla biednej ludności dolnej części miasta Towarzystwo rozdaje obiady w domu sierót na Śródce.

„Kuchnia dla ubogich“ wydzielać ma jedzenie w pierwszym rzędzie ubogim poleconym bądź to przez panie z zarządu, bądź przez poszczególne konferencye Tow. św. Wincentego à Paulo z Poznania; dalej ubogim poleconym imiennie przez księży i lekarzy, jako mającym największej bezpośredniej styczności z ubogimi — w drugim rzędzie będzie zadaniem „kuchni“ dostarczać posilnej, rzetelnej strawy za możliwie nizką opłatą robotnikom i wogóle ludności ubogiej. Celem przeprowadzenia pierwszego zadania z prawdziwą korzyścią, zarząd działać będzie w porozumieniu z przewodniczącymi Tow. Pań św. Wincentego a Paulo i poszczególnych konferencyi męzkich.

Istnienie i powodzenie „kuchni dla ubogich“ zależeć będzie oczywiście przedewszystkiem od popierenia przez jaknajwiększe koła społeczeństwa czy to datkami w naturaljach, czy też ofiarami pieniężnemi. Składka roczna dla członków stałych wynosić będzie „trzy“ marki rocznie. Wobec drożyzny artykułów spożywczych zwraca się zarząd, za pośrednictwem naszem, z serdeczną i usilną prośbą o datki w tym zakresie, nietylko do obywatelstwa miejskiego. (mianowicie do Panów kupców), lecz także do obywateli wiejskich. Dary odnośne przyjmuje *Szafarka Towarzystwa*: pani Władysławowa Stablewska: Plac Królewski 1-p. — pieniężne zaś ofiary *skarbniczka:* panna Elżbieta Stablewska — Rycerska 9 I-p.

W skład zarządu wchodzą: jako *Patron Tow. ks. Prałat dr. Lewicki*, jako *przewodnicząca: pani Radczyni Motty*, jako *szafarka pani Władysławowa Stablewska*, jako *skarbniczka, panna Elżbieta Stablewska*, jako *sekretarka pani M. Zarembianka, pp. Marya Szczaniecka i Józefa Chłapowska* rozdają kwitki poszczególnym konferencyom. — *Dalszy komitet tworzą:* p. Marya Hasa-Radlic, pani prof. Jakowicka, pani Kobylińska, p. Seweryna Sczaniecka, p. Zofia Zarembina, hr. Benzelstjerna-Engeström, radzca dr. Franciszek Chłapowski, p. Jankowska, ks. kapelan Łukomski, ks radzca Kaźmierz Michalski, p. dr. Franciszek Zakrzewski.

RUCH W TOWARZYSTWACH.

Strzelno. „Sokół“ tutejszy odegra 2 go lutego teatr amatorski: „Zaklęty dom“ i „Zagłoba swatem.“ Nie wątpimy, że publiczność tak z miasta jak z okolicy zapełni widownię po brzegi, gdyż na to zasługują ruchliwi i pracowici członkowie naszego „Sokoła.“

Chodzież. Tutejsze Towarzystwo śpiewu „Halka“ urządza w dniu 26-go b. m. na sali p. Vercha teatr amatorski. Odegrane będą sztuki: „Łobzowianie“ i „Żyd w beczce.“ Początek o godz. 8 ej wieczorem. Po przedstawieniu zabawa z tańcami. O łaskawy najliczniejszy udział uprasza

Zarząd.

Wolsztyn. Tutejsze Towarzystwo Przemysłowe urządza na sali hotelu „Victoria“ na cel dobroczynny dnia 26-go b. m. teatr amatorski. Odegraną będzie opera narodowa p. t. „Zabobon czyli Krakowiacy i górale.“ Początek o godzinie $7^1/_2$ wieczorem. Po przedstawieniu zabawa z tańcami. O jak najliczniejszy udział uprasza Zarząd.

Wrocław. Towarzystwo przemysłowców polskich. Roczne walne zebranie odbędzie się w przyszły poniedziałek dnia 27-go b. m. o godzinie 9-ej wieczorem, w sali posiedzeń Tow. kasino Neuegasse N. 8. Na porządku dziennym wybór nowego Zarządu. Szanownych członków prosimy o liczne i punktualne przybycie. Goście mile widziani. Zarząd.

Od Redakcyi.

P. Sp. Krzycko. — Wyczerpany.

Imć. Ksiądz Józef Stawarz — Jagielnica, Galicya. Nr. 51 „Pracy“ wyczerpany.

P. A. Witowiak — Tartaków, Galicya. W księgarni Feitzingera w Cieszynie, Sl. austr.

P. S. Mizgajski — Nadyby Wojutycze, Galicya. — „Ziemianin“. — Redakcya Poznań. ul Półwiejska — Halbdorfstr.

P. Radzca Sp. — Berlin. — Życzone numery „Czytelni Polskiej“ zupełnie wyczerpane.

P. L. L. — Odolanów. — Wyczerpane.

P. W. Giżelski — Luciny. — Wyczerpane.

Panu Janowi D. w Dąbrówce. — Na razie nie — ale później i o tem pomyślimy.

Panu J. Cz. w Remscheid. — Za agitacyę najserdeczniej dziękujemy. Wiersza ze względów prasowych zamieścić nie możemy.

K. G. List Szan. Pana odebraliśmy i zastanawialiśmy się nad tą sprawą. O ile wiemy, ktoś inny już się zabrał do wykonania *podobnego* pomysłu. Wielkiego skutku nie spodziewamy się jednakże po takiej broszurze. Toć wydano ich już kilka. Bardzo dobra była bruszura Wagnera, dawniejszego redaktora „Posener Ztg.“ A jakiż osięgnęła rezultat? Prasa hakatystyczna od razu tak ją zdyskredytowała — że kupowali ją... Polacy, ale nie Niemcy. Ludzi złej woli i tak obałamuconych, jak obecnie Niemcy — broszury takie nawrócić nie zdołają. Skupiajmy siły nasze i brońmy się — opinia niemiecka zmieni się dopiero gdy pozna, że hecą antypolską tylko szkodę Niemcom wyrządza.

Skale. Artykułu Szan. Pana zamieścić nie możemy, gdyż nie godzimy się na zdanie Pańskie o znaczeniu Kościoła katol. w dziejach naszych. Niechże Szan. Pan pomyśli tylko, coby się dziś z nami działo, gdybyśmy zamiast księży katolickich, mieli pastorów — urzędników państwa, zależnych we wszystkiem od rządu? Tak samo w Rosyi. Właśnie po rozbiorze Polski stanowił Kościół katolicki naszą odrębność wyznaniową, jedną z najsilniejszych podwalin także naszej narodowej odporności — i już z tego powodu — nie wchodząc w inne, które są rzeczą *sumienia* a zatem usuwają się z pod dyskusyi na tem miejscu, nie możemy stanowiska naszego względem Kościoła tak pojmować, jak je Szan. Pan pojmuje. Za pamięć dziękujemy i prosimy o współpracownictwo, ale w innym duchu.

Panu Mieczysławowi L. w Berlinie. — Anonsuj Pan w „Pracy“, a skutek będzie pewny. Firma, do której się Pan zgłosił, już się takiem pośrednictwem nie zajmuje.

Wykaz składek

na fundusz wrzesiński.

(Ciąg dalszy).

Blankenburg: M. P. Balcer 1 m., M. T. Śledzikowski 1 m.

Broniewo: J. Musiał I. 3 m.

Bitterfeld: Przez członków Towarzystwa Polsko-katolickiego „Sobieski“ W. Pierzchot 20 f., J. H. 30 f., J. Michalski 20 f., M. Woźniak 1 m., P. Maślanka 20 f., I. Pieszlewicz 30 f., P. Horyński 50 f., M. Dębski 60 f., A. Gołębiewski 50 f., W. Walkowiak 25 f., B. Walkowiak 25 f., A Ratajczak 30 f., J. Czaplicki 25 f., A. Stelmaszyk 20 f., St. Bulka 50 f., J. Włodarczak 1 m., H. Głuba 25 f., F. Maślanka 20 f, T. Paszkowiak 50 f., Fr. Majewicz 2 m. 25 f., St. Pakosz 25 f., Gość A. Buga jewski 25 f.

Biadki: Zybała Walenty 1 m.

Budapeszt: Julian Kołaczkowski 10 m.

Bankau (Wesfl.): Ig. Przybylski 3 m., Jan Włódaczak 3 m., Piotr Przybylski 2 m., Leon Jendrowiak 1 m., Józef Kaczmarek 1 m.

Budapeszt (Węgry): Jul. Kołaczkowski 10 kor.

Blumenthal (Hanower): St. Rudowicz 1 m., J. Zawidzki 1 m., J. Namysł 1 m., Fr. Barczynski 50 f., M. Cebulska 50 f., E. Zawidzki 10 f., M. Zawidzki 10 f.

Chawłodno (Gołańcz): A. Malak 1 m., J. Pausiek 1 m., A. Zmudziński 1 m.

Czarnków: Franciszek Schlanga 1 m., I. Schlanga 5 m.

Czermin Galicya; Jakób Wilczyński 85 f.

Cieszyn Ślązk Austr.: N. N. 3,14 koron.

Castrop: M. Kaczmarkiewicz 3 m., J. Szemora 1 m., Antoni Kaczmarek 50 fen.

Chojnica: Ks. Br. Hertmanowski 5 mrk.

Chorzow: Zebrane przez p. Józefa Bacia z Katowic od przyjaciół Chorzowskich 2,50 m.

Dysseldorf: St. Kaźmierczak 2 m., A. Kostyk 1 m., Ig. Błyżyński 2 m., za pośrednictwem p. Wal. Beigera złożyli: Michał Zydlewicz 1 m., Julian Borowicki 1 m., Wojciech Przybył 3 m., Walenty Beiger 3 m., Piotr Żuraw 2 m., N. N. 50 f., N. N 50 f., N. N. 50 f., N. N. 1 m., M. Dudziak 50 f., T. Wojceżak 50 f., A. Szczech 50 f., Marian Chocelewski 1 m., Henryk Kirblewski 50 f., St. Kolenda 1 m., K. Bubak 1 m., W. Matuszewski 1 m., Jeseorski 1 m., I. Kierblewski 50 f., Towarzystwo polskie „Polonia“ 5 m.

Dippoldiswalde Drezno: Za pośrednictwem pana Wacława Wyrybkowskiego Tow. przemysłowe i delegacya czeskiego „Sokoła“ w Dreźnie 40,75 m.

Dobromil Galicya: Zofia Bieńczewska 1,71 m.

Dłonia: Franc. Durski 10 m.

Drezno: T. Kulas 5 m.

Duszniki: Strzelczak 1 m.

Dziadkowo: Janaszewski 10 m.

Dellwig Westfl.: Jan Swoboda 1 m., Jan Rymer 1 m. Józef Rymer 1 m., J. Matela 1 m., T. Szkop 50 f., A. Mrozek 20 f, J. Wojaczek 50 f., F. Woźniak 50 f., Nik. Czermiak 50 f., M. Woźniak 50 f., A. Adamczak 50 f., St. Urbaniak 50 f., K. Stawniak 50 f., K. Michalak 50 f., Fr. Przydyra 50 f., L. Gulczyński 50 f., A. Kosmala 50 f., Jan Banasik 1 m., L. Stawaniak 1 m.

Dortmund: Za pośrednictwem p. Mikołaja Minkusa złożyli: M. Minkus 1 m., P. Minkus 1 m., Fr. Drelok 1 m., L. Łyskawa 1 m., St. Bartkowiak 1 m., M. Łyskawa 50 f., A. Grobelny 50 f., S. Kucera 50 f., W. Staszewski 50 f., M. Chwatacz 50 f., F. Niczka 1 m., J. Stefański 50 f.

Dąbrowa Galicya: Piotr Gądek 2 kor., Tow. „Lutnia“ 15 kor.

Essen a. Ruhr: Andrzej Przybyła 1 m., St. Burdelski 1 m., Jan Szwarc 1 m., Andrzej Olek 1 m., Marcin Radecki 1 m., Feliks Sobczak 1 m., Gembalska 50 f.. Józef Elsner 50 f., P. Dutka 3 m.; P. Gwizdek 2 m., St. Zygmaniak 2 m., A. Stolas 1 m., St. Grzywacz 1 m., A. Popielas 1 m., L. Merczyński 3 m., A. Janicki 2 m., A. Trafankowski 2 m., St. Zalisz 2 m., J. Partyka 1 m. 50 f., W. Brumski 2 m., Córka pana Brumskiego 50 f., St. Wielebinski 1 m., W. Lehman 3 m., J. Kęsy 1 m., J. Płucieńczak 1 m., A. Kómiń 1 m., M. Langner 1 m., J. Parzysz 2 m., St. Bielawny 3 m., Fr. Skuza 1 m. 50 f., J. Skuza 1 m., Fr. Szymański 1 m., W. Sosnowski 5 m., J. Goździkowski 1 m., P. Kłos 1 m., A. Danielak 1 m., W. Walkowiak 1 m., F. Gusman 1 m., Jan Mosiek 2 m., Jan Błoch 2 m., Jan Jankowski 1 m., Jan Ratajczak 1 m., Bart. Kasperski 1 m., Salomon Hecht (Israelita) 2 m., Józef Piotrowski 50 f., Michał Jeżak 50 f., Kazimierz Płuciniak 2 m., Julian Zieliński 1 m., Michał Nowónka 30 f., Jakub Olszewski 50 f.

Elberfeld: Ludwik Dyba 1 m., Wal. Deres 25 f., Kryst. Deres 25 f., Józef Mingers 10 f., Józef Bigos 50 f., Franc. Bigos 50 f., Michał Wolsztyniak 1 m., Jakób Stratyński 1 m., M. Maciejewska 50 f., Michał Trawiński 1 m., Tomasz Defit 50 f., Ludwik Bobkiewicz 50 f., Walenty Dankowski 50 f., Józef Ryżek 50 f., Wład. Galuba 25 f., Michał Tuszyński 1 m., Tomasz Wąsik 50 f., Walenty Mrozik 1 m., Stan. Pietrzak 50 f., Fran. Kowal 50 f., Fran. Butawa 50 f., Ant. Blady 25 f., Jan Wize 50 f., Piotr Paluszkiewicz 50 f., Jan Wiśniewski 25 f., Jan Jagodziński 50 f., Andrzej Rybak 1 m., Andrzej Golak 50 f., Franc. Golak 50 f., Antoni Gabała 25 f.

Feldmühle p. Cosel: Th. Malcherczyk 3 m.

Fehertemplom Węgry: Jan Zjawin 2 m. 23 f.

Falmirowo: Tow. Różańca żywego 15 m., Piotr Cibulski 1 m., Klementyna Szymonkiewicz 50 f.

Grodzisk: A. Hoffmann 3 m, A. P. 5 m.

Głogówek G. Ś.: Jadwiga Bartoniowa 2 m.

Gusztynek Galicya: Sibiga żandarm 1 k. 50 h., Dziaduś S. żandarm 1 k. 50 h., Dobrowolski nauczyciel 1 koronę.

Greppin: Józef Piątek 1 m. 25 f.

Grudziądz: Wiktor Kruszewski 3 m. 10 f.

Miejska Górka: M. Danecki 3 marki.

Grodziszczko: J. Badyński 50 f.. J. Walczak 50 f.

Granowo: A. Kortus 2 m., J. Szymczak 50 f., M. Fajfer 50 fen., J. Szłpaka 50 f.,

(Ciąg dalszy nastąpi).

Nadesłano: Do dzisiejszego numeru dołączamy dodatek p. M. Schneidera, tyczący się wyprzedaży sezonowej.

Jedni nie chcą tego, co mogą, inni nie mogą tego, czego chcą.

Młodzieniec; — Czy pani nie zechce wyjechać ze mną na rowerze?

Dama: — Nie mogę. Lekarz mi zabronił.

Młodzieniec: — Niechże pani coprędzej zmieni lekarza — i jedźmy.

Kto hula bez miary,
prędko stary.

—

Podłych mnóstwo, tylko na różną cenę.

Człowiek zarozumiały lubi skały, bo w nich echo.

—

Ile golców, tyle reformatorów.

— Płacić!
— Do usług.
— Żona ma wątróbkę gęsią, córka pierś nadziewaną, syn móżdżek cielęcy, a ja — pięć bomb i świńskie ucho.

Przywódcy stronnictwa muszą się stósować do jego opinii, jak galernik do swoich kajdanów.

Przerażony.
Żona: — Czego ci się tak jeżą włosy?
Mąż (wstając rano): E... miałem okropny sen, cały się jeszcze trzęsę.
Żona: — Cóż ci się śniło?
Mąż: — Że twoja mama przyjechała.

Pesymista.

— Skąd panu przyszło do głowy, że jestem żonaty?

— Wszak widziałem pana wczoraj idącego pod rękę z jakąś damą.

— I pomyślał pan zaraz coś najgorszego!

Niewybredna.

Jaś (płacząc): — Mamo! Michaś znowu nabił mi sińca!... Co za niegrzeczne dziecko! Ale bo też i mamusia przyjmuje bez wyboru wszystko, co jej pierwszy lepszy bocian przyniesie!

Stałem się o jedno doświadczenie bogatszy — mówi niejeden, który tylko zubożał o jedno złudzenie.

Kap. zakł. M. 3000000 **Bank Ziemski** Kap. zakł. M. 3000000

w Poznaniu,

ulica Wiktoryi nr. 2

przyjmuje na procent wkładki i oszczędności od 100 mk. poczęwszy i płaci za 3-miesięcznem wypowiedzeniem 4%
„ 6-tygodniowem „ 3½%.

Przesyłki pocztą, adresować należy tylko: 691

Bank Ziemski — Posen.

Telefon Nr. 1179. Telefon Nr. 1179.

Szanownym Paniom miasta Poznania i okolicy polecam moję

konfekcyą damską i dziecięcą.

Wszelkie toalety, zwłaszcza na nadchodzący czas balowy, wykonuję starannie i podług najświeższych fasonów.

Prosząc uprzejmie o poparcie mojego przedsiębiorstwa, polecam się wysokim względom i łaskawej pamięci z głębokim szacunkiem

Felicya Brychczyńska,
Poznań, Stary Rynek 73 III.

Panienki, chcące się wyuczyć krawiectwa przyjmuję każdego czasu. Na życzenie już w trzecim miesiącu rozpoczynam naukę kroju.

Karol May.

Najstarszy warsztat i skład obuwia

w Poznaniu,

ul. Wilhelmowska nr. 21. naprzeciw hotelu francuzkiego

poleca po cenach umiarkowanych wielki wybór obuwia poczęwszy już od najmniejszych różnego rodzaju i w różnych odmianach.

Sudoral!! bardzo skuteczny środek na pocenie się nogi. Zestawiony przez aptekarza Petersa w Dreźnie. Fl. 1 markę, przepis gratis.

Sudoral!! nie gubi potu, lecz osuwa na pewien czas skąd zawsze suche i zdrowe nogi.

Specyalność!!

buty długie, kamasy dla Wgo Duchowieństwa. buty do polowania i gospodarstwa.

Wszelkie zamówienia wykonuje ...(?) i ...(?), usługa rzetelna.

Materyały piśmienne

poleca

hurtownie i detalicznie

Skład papieru i materyałów piśmiennych

„Atlas“

W. Kostrzewski,

Poznań, Stary Rynek nr. 48. 67

Pięknie pobudowany 13

folwark

o 358 morgach, w czem 220 mórg średniej dobroci roli, 120 mg. boru i zagajeń, 10 mg. wybornych łąk, 7 mórg olszyny. 1 mg. staw rybny, jest dla choroby właściciela zaraz na sprzedaż przy zaliczce przynajmniej 25,000 mk. Inwentarze tak żywe jak martwe znakomite. Adres:

Łopiński,

Posen W. 3, Glogauerstr. Nr. 74.

Karty okrętowe

z Hamburga do Ameryki i Brazylii itd.

poleca 358

Adam Spektorek

w Chodzieżu (Kolmar i Pr.).

☞ Kto karty okrętowe u mnie kupuje, jedzie pod opieką stowarzyszenia św. Rafaela, na czele którego stoją księża katoliccy, przez co ochroni się od każdej moralnej i materyalnej straty.

Gnieźnieńska fabryka cygar

poleca znakomite wyroby i wysyła na próbę fr. pod zaliczką następujące ogólnie za dobre uznane marki:

100 szt. Polonia	za	2,50
100 „ Enxian	„	2,75
100 „ Schifferlieb	„	3,00
100 „ Sumatra	„	3,50
100 „ K. Wilh.	„	4,00

rm. 500 szt. za mrk. 15,75 niech nikt nie zaniecha korzystać z tak taniej oferty. Przy następnych zamówieniach udzielę chętnie na życzenie kilko miesięcznego kredytu. 800

P. Urbanowski,
fabryka cygar,
Gniezno.

Lekkomyślny.

Bankier A. do bankiera B.: — Słyszę, że twój przyszły zięć złożył u ciebie 50,000 mk. I takiemu lekkomyślnemu człowiekowi chcesz dać córkę?

Tylko dla rutynowanego gospodarza rodaka

folwark

265 mórg żytniej ziemi w okolicy Mogilna z kompl. inwentarzem itd. i uregulowaną niewypowiedzialną, za cenę 40 tys. mk., przy zaliczce 10—15 tysięcy mrk. do sprzedania.

Bliższych wiadomości udzieli bezinteresownie 40

F. Zalewski,
Inowrocław
ul. Zygmuntowska nr. 2.

Fabryka i największy skład gotowej

garderoby męzkiej i dla chłopców.

Hurtownie! Detalicznie!



Wielki skład sukna!

Sprzedaż z łokcia bardzo tanio!

Pracownia eleganckiej garderoby

pod kierownictwem pierwszorzędnego rutynowanego krojczego.

Wielebnemu Duchowieństwu polecam

dobry krój rewerend.

444 **K. Kużaj,**

Poznań, Wrocławska 13/14.
Inowrocław, Rynek 21.

Antoni Rose

Poznań — Bazar

poleca 315

Artystyczne karty pocztowe

własnego nakładu

z illustracyami J. Kossaka do *„Ogniem i mieczem,“* z *typami* w strojach polskich z *1817 r.*, z wizerunkami *pociów polskich*, z *widokami* miasta *Poznania.*

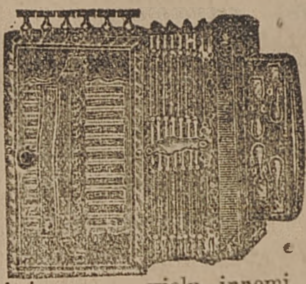
Nakładów obcych

z reprodukcyami rysunków *A. Grottgera:* „Wojna,“ „Lituania,“ „Polonia“ i t. d., obrazów historycznych *Jana Matejki*, panoramy *„Racławice“* W. Kossaka, z illustracyami Andriollego do *„Pana Tadeusza“* i *„Maryi“* z illustracyami do *„Quo Vadis“* i t d. i t. d.

Typy Wielkopolskie

z wizerunkami.

Na żądanie służę odwrotnie wzorami.



Na 8 tygodni na próbę!

wysyłam każdemu za zaliczką bardzo piękną, elegancką, nadzwyczaj mocno zbudowaną **ręczną harmonikę koncertową** z niezłomnem urządzeniem sprężynowem, że 16-tu dwurzędowemi świetnemi trąbami, ankrem lub gwiazdą, 16-tu pierścieniami odgłosowemi i jeszcze z wielu innemi pięknemi ozdobami, 10 klawiszami, 2 basami, 2 rejestrami, 2 kluczami, 2 daleko się wyciągającemi, bardzo mocnemi podwójnemi miechami ze stalowemi ochronnemi przykryciami i z dwuchórową znakomitą muzyką organową. Taki przepyszny instrument kosztuje tylko jeszcze 4½ marki z dzwonkiem 30 fenygów więcej, trzychórowy z prawdziwemi rejestrami i 70 głosami tylko 6 mrk., czterochórowy z 4 prawdziwemi rejestrami i 90 głosami tylko 11½ mrk., sześciochórowy z 6 prawdziwemi rejestrami i 130 głosami tylko 11½ mrk., dwurzędny z 4 basami, 110 głosami i 19 klawiszami tylko 10 mrk.

Wielka przepyszna **cytra Columbia** ca 51 cm. długa, z 5 akordami, 41 strunami, szkołą do samonauki tylko 8½ mrk.



Cytry akordowe z 6 manuałami 25 strunami i przyrządem, tylko 6½ mrk. Opakowanie bezpłatnie. Porto 80 fen., Cenniki gratis. Proszę zamówić tylko u firmy

Robert Husberg,
Neuenrade No. 23 Westfalen (Westfalia.) 34

Doskonały reporter nie ma własnego sądu; jest jak zwierciadło — odbiciem sądu cudzego.

Już można odnowić przedpłatę na poczcie!

Niniejszą kartkę prosimy odciąć i podać znajomemu z zachętą do prenumeraty.

Unterzeichneter abonnirt hiermit bei dem Kaiserl. Postamt für die Monate Februar u. März die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Praca"

(Abtheilung II. t. poln. Nr. 95 der Zeitungspreisliste)

für 84 Pf.

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige 84 Pf. erhalten zu haben bescheinigt

.........., den ....

Kaiserl. Post..........

Prosimy zażądać numerów okazowych i podawać je znajomym z zachętą do prenumeraty.

Unterzeichneter abonnirt hiermit bei dem Kaiserl. Postamt für die Monate Februar u. März die in Posen erscheinende Tageszeitung

„Górnoślązak"

(Abtheilung t. poln. Nr. 56 der Zeitungspreisliste)

für 86 Pf.

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige 86 Pf. erhalten zu haben, bescheinigt

.........., den ....

Kaiserl. Post..........

Niniejszą kartkę prosimy odciąć i podać znajomemu z zachętą do prenumeraty.

Unterzeichneter abonnirt hiermit bei dem Kaiserl. Postamt für das I. Vierteljahr die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Czytelnia Polska"

(Abtheilung II. t. poln. Nr. 13 der Zeitungspreisliste)

für 60 Pfg.

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige 60 Pfg. erhalten zu haben bescheinigt

.........., den..........

Kaiserl. Post..........

Prosimy odciąć!